№ 40. Warszawa, dnia 21 Września (3 Października) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Z LITERATURY CZESKIEJ.

„TWARDOWSKI".

POEMAT

Jarosława Vrchlickiego.

Praga. Drukiem i nakładem Fr. Szimaczka, 1885 r.

PRZEZ

Miriama.

Piękne podanie ludowe, zrodzone na naszej ziemi i będące niezaprzeczoną jej własnością, jak gadki o Fauście, są niezaprzeczonym wytworem i własnością ducha germańskiego, dotąd nie znalazło godnego w poezyi naszej tłomacza. Ballada Mickiewicza o pani Twardowskiej, jest tylko oderwanym fragmentem, a przytem, dzięki wyłącznie humorystycznemu nastrojowi swemu, nie daje pojęcia o całej głębi i potędze tego podania, nie odkrywa ogólno ludzkiej jego strony. Inne poemata i dramata na tem tle osnute (Zielińskiego, J. N. Kamińskiego, Szujskiego, Grozy) grzeszą, że tak powiem, brakiem metafizyki, w tem znaczeniu, w jakiem Georges Sand nazywa Fausta, Manfreda i III-cią część Dziadów dramatami metafizycznemi, to jest albo odrywają się zupełnie od podania, albo też ślepo a powierzchownie go się trzymają, nie starając się doszukać w niem wewnętrznej myśli, metafizycznego pierwiastku, który z biegiem czasu powoli przyodziany został w tę barwną szatę gadki ludowej, lecz który jest głównym jej rdzeniem i ukrytą podstawą.

Wobec tylu porażek, nie dziw, że z ciekawością braliśmy do ręki poemat autora czecha, poświęcony dziejom naszego „polskiego Fausta". Wrażenie, które odnieśliśmy po przeczytaniu było nader dodatnie. Opowiemy je czytelnikom w krótkich słowach.

„Twardowski" Vrchlickiego jest szeregiem luźnych scen, bądź dyalogowanych, bądź opowiadanych, a stanowiących razem wielki poemat metafizyczny. Zachowując wiele szczegółów z podania ludowego (uczeń zmieniony w pająka, karczma, Rzym, zawieszenie w powietrzu), poeta szukał głównie jego idei, jego wnętrza, badał jego tajemnicę, a odkrywszy ją, dodał wiele nowych obrazów, których nie ma w podaniu, aby myśl swoją uplastycznić. Twardowski jest u Vrchlickiego ostatecznie uosobieniem ducha ludzkiego, wiecznie walczącego, wydzierającego się wszystkiemi siłami z objęć błędów i ciemności i uporczywie, pomimo wszelkich przeszkód dążącego do światła, do prawdy, do doskonałości, której podstawą jest wielka wszystko ogarniająca miłość.

Rozpatrzmy bliżej w szczegółach ten piękny poemat.

Pieśń pierwsza p. t. „Stary obraz", zawiera dzieje urodzenia i lat dziecięcych Twardowskiego. Poeta korzystał tu, jak i w całym poemacie, z przywileju poematów fantastycznych (porówn. Fausta, Manfreda), odrywając się w zupełności od warunków czasu; miejsce jest wszędzie dość jasno określone, lecz za to o epoce, w której rzecz się dzieje, trudno coś wiedzieć. W pokoju ojca Twardowskiego wisi portret Sobieskiego; potem w śpiewie jedenastym dowiadujemy się, że tenże ojciec bohatera poematu skonał gdzieś na dalekim Wschodzie, dokąd zmuszony był usunąć się w nagrodę za gorące uczucie, za poświęcenie okazane w świętej sprawie uwolnienia ukochanej matki. W śpiewie czwartym, jesteśmy znowu jakby w czasach dzisiejszych; pieśni VI, VIII i IX cofają nas znowu w tył, ta ostatnia do czasów dożów weneckich i t. p. Poeta miał prawo to robić, a co jest rzeczą uwagi i podziwu godną, że mimo tych przeskoków i niejasności czasu, poemat nie robi na nas wrażenia zamętu, lecz przeciwnie, akcya jasnym, harmonijnym płynie tokiem. Ale wróćmy do „Starego obrazu".

Po cudnym krajobrazie stepów Ukrainy o zachodzie słońca, oraz opisie starego dworu pańskiego, rozpoczyna się dramat. Szlachcic (zeman), ojciec Twardowskiego, dręczony podejrzeniami,

z goryczą i niespokojnością rozpytuje starego sługę, co robiła pani podczas jego nieobecności i nakoniec z ust wyrywa mu się wściekły okrzyk, że dziecko, które żona niedawno mu urodziła, nie jest jego dzieckiem. Przeklina je. Scena druga przedstawia chrzest małego Twardowskiego w wiejskim kościołku. Duch matki (która snadź umarła), błogosławi dziecko do chrztu niesione; po chwili nadlatuje zły duch i nazywa je swoją własnością, jako dziecię grzechu, przeklęte przez ojca. W scenie trzeciej stary Twardowski wyraża znowu swoje zwątpienie, wywołane dziwnem zachowaniem się żony, księdzu, przyjacielowi swemu, który chrzcił dziecko. Ksiądz uspakaja go. Szlachcic dla uspokojenia siebie samego ogląda pokój, czy nie ma w nim jakiej skrytki, rozbija ramę wiszącego na ścianie obrazu Sobieskiego i znajduje tam głęboką niszę, a w oczach Sobieskiego dwie dziury w płótnie. To upewnia go w podejrzeniach i wprawia w rozpacz.

Scena czwarta. Mały Twardowski, w dziecinny sposób opowiada ojcu, że nie pójdzie na step bawić się, bo tam dziwnie patrzy nań jakiś człowiek. Ojciec oddala się na chwilę, zły duch staje przed dzieckiem, malec zaczyna krzyczeć, ojciec powraca lecz nic nie widząc, zaczyna przeczuwać coś złego:

— Boże! — woła — co z tego będzie?

Niepodobna zaprzeczyć, że pomysł ten poddania Twardowskiego władzy złego ducha w skutek tego, że jest dzieckiem grzechu, a nie przez trywialne podpisywanie cyrografów, jest pomysłem nowym i bardzo trafnym.

Dziecko-Twardowski staje się młodzianem. Jako student wędruje z towarzyszami. Siedli gdzieś w karczmie, piją, hulają z dziewczętami. Nieznajomy wywołuje Twardowskiego i na zapytanie: „Ktoś ty?" odpowiada: „Ten kto mógłby rozkazywać, lecz tymczasem tylko prosi." Poznajemy, że to czart. Nie dość mu, że Twardowski hula, wskazuje mu uczciwe dziewczę ginące z głodu, Twardowski zwraca się do niej... lecz w uchu brzmi mu długo, na wieki piosnka do Maryi Panny, którą dziewczę śpiewało.

W części trzeciej: „Wspomnienia młodości", czart daje się poznać Twardowskiemu, wyjawia mu, jakie ma prawa do niego, a tymczasem ofiaruje swe usługi. Twardowski po krótkiej refleksyi dumnie przyjmuje jego ofiarę, żądając by mu odkrył prawdę. Czart zabiera go z sobą, jadą przez step. Twardowski marzy w głos. Stają mu przed oczyma jako ostatnie pożegnanie z przeszłością, cudne obrazy młodych lat, a czart każde takie wspomnienie ośmiesza ironiczną uwagą. Uwagi te jednak mało wpływają, bo Twardowski zakończa: „W przeszłości zawsze chętnie myślą przebywałem i nie chcę jej zapomnieć."

Część szósta: „Rozrywki nocne" wprowadza nas w drugą połowę poematu, gdzie Twardowski, człowiek zwyczajny, przetwarza się w Twardowskiego tytana, Twardowskiego mędrca, szukającego wiecznej prawdy na błędnych drogach ludzkości. Znajdujemy go w pracowni, śród retord, flaszek i starych pergaminów. Wchodzą allegoryczne postacie: Scholastyka i Mistyka i każda chce mędrca sobie pozyskać, chwaląc siebie, a ganiąc przeciwniczkę. Stopniowo dochodzą do sporu, kłótni, wojny, rzucają się na siebie, wybucha płomień, obie nikną, pozostawiwszy tylko po książce: Scholastyka „Summę teologii"; Mistyka „Naśladowanie Chrystusa.

Dyabeł wchodzi, podnosi je i śpiewa:

Dwie małe książki, a przecie
Co już waryatów spłodziły,
I wieki całe na świecie,
Ród ludzki za nos wodziły.

Zawiązuje się następujący dyalog:

Twardowski. Gdzie jest prawda?

Czart. Et, dajmy pokój, prawda nie dla takich, jak ty.

Twardowski. Ale ja chcę ją widzieć, chcę ją ująć.

Czart. No, dobrze, ukażę ci ją tak, jak ją może znieść twe oko.

Twardowski. Więc jest jeszcze coś wyższego? Jest więc rozkosz na świecie, w której człowiek podobny jest Bogu?

Czart (głucho). Jest, lecz dotąd nie jesteś zdolny ją pojąć.

Twardowski. Gdzie jest to wino, bym się niem upoił, jak się nazywa w mowie wybranych?

Czart. Myśl! lecz tymczasem zadowolnij się kobietą.

Perswazyami temi przekonywa czart Twardowskiego i szaloną bachanalią, przypominającą Faustowską noc Walpurgi. Wypchane sowy ożywiają się, myszy biegają ze złotemi dzwonkami u ogonów, z komina lecą białe sadze i tańczą wkoło iskierkami, suchy kościotrup sługę udaje, winograd sam przez okno wdziera się do izby, a tysiąc potwornych, długonosych karłów wnet wino zeń wyżyma, salamandra tańczy w ogniu; aż na koniec, na żądanie pałającego namiętnością Twardowskiego, czart za pomocą czarodziejskich zaklęć, stawia przed nim kolejno postacie najpiękniejszych w dziejach kobiet. A więc: Semiramida, Bethsabea, Horacyuszowa Lesbia, Herodiada opowiadają na rozkaz Twardowskiego swe dzieje. Podziwiać można jedynie olbrzymią wyobraźnię poety, który każdemu z tych opowiadań nadał tak właściwy koloryt, że widma te robią wrażenie powstałych istotnie z grobów przedstawicielek różnych epok. Twardowski szaleje z żądz nawału i rozkazuje wreszcie czartowi, aby mu pokazał prarodzicielkę Ewę, w całym blasku jej rajskiej piękności. Czart odpowiada, że to niepodobna i ukazuje mu ją odzianą w skóry zwierzęce, z obliczem porytem smutkami. Długie, siwe włosy spływają jej aż do ziemi, płacze gorzko.

Twardowski. Niech przemówi choć słowo.

Czart. Ona więcej mówi milczeniem, niż słowy rzec by mógł cały świat, ona odpowiada jękiem: tyś dziecię grzechu, stracony, przeklęty, dziedzic utrapień, mąk i nędz!

Posępne to widziadło otrzeźwia Twardowskiego z jego szału:

— Ah! Ewo, Ewo — woła — dziękuję ci, za twój zsiwiały, długi włos, za te łzy, które jako perły świecą na końcach twoich siwych rzęs, *jam człowiek, syn twój, czuję znów!* Do nędzy, w którą rzuceni przez grzech twój, walczymy nieustannie, nie chcę dodawać brzmienia klątw, bo to przed Bogiem proch i dym! Ja raczej wołam: słodka wino, przez którą człowiekowi odjęty był raj, bądź pozdrowione prawdy wino, ideo dojrzej w myśli mej. Chcę walczyć, jako wszyscy inni, cierpieć i bojować stale, ma boleść jest mem dobrodziejstwem, ja kat, ja będę zbawicielem...

Zakończa słowa jego szyderczy wybuch śmiechu czarta.

Część siódmą stanowi legenda „Łza". Twardowski z czartem lecieli na powietrznem płaszczu, gdy wtem ujrzeli chatkę małą, a w niej matkę modlącą się z dziećmi. Twardowskiemu rozdarło to serce, przypomniał sobie szczęśliwe, niewinne chwile własnego dzieciństwa. Woła na dyabła, by prędzej leciał dalej; lecz ten nie może nic zrobić: płaszcz powietrzny opada, bo oto rozrzewnionemu Twardowskiemu łza spadła na skraj jego „a łzy takie", powiada czart, „mają wagę". Zdmuchnął ją, poleciała jak gwiazda, a oni przez chmury pędzili dalej.

Pieśń ósma: „*Banda Janusza*" przypomina nieco Faustowską scenę w piwnicy Auerbacha. Czart okazuje Twardowskiemu całą głębię hipokryzyi ludzkiej, następnie oszołomiwszy czarodziejskiemi sztukami całą bandę rozbójników, ulata z towarzyszem na swym czarodziejskim płaszczu.

W pieśni dziewiątej: „Donna Lukrecya", czart przynosi spragnionego rozrywki Twardowskiego do Wenecyi. Śpiew rozpoczyna się cudnem lirycznem pozdrowieniem morza, oraz opisem królowej Adryatyku.

Scena druga przedstawia rozmowę Twardowskiego z czartem w parę dni po przyjeździe, na dachu kościoła św. Marka. Twardowski wyrzuca dyabłowi, że się nudzi; ten proponuje mu dla rozrywki piękną Lukrecyę, „u nóg której doża klęczy a legat zdjął-by dla niej księżyc srebrny i gwiazd roje z firmamentu: kto szlachcicem wzdycha do niej, każdy ją w cichości kocha.

Za zgodą Twardowskiego czart wprowadza go na wspaniały bal u doży i zaznajamia tam z Lukrecyą. Ta ostatnia zostaje kochanką Twardowskiego. Lecz wkrótce dyabeł zawiadamia czarodzieja, że Lukrecya zdradza go dla swych dawnych kochanków: doży, legata i markiza. Twardowski, przybrawszy postać nędznego żebraka wchodzi do Lukrecyi, podczas jednej z takich jej orgii. Wszyscy przerażeni.

Twardowski (wskazując na siebie). Spójrzcie, nędznicy, w zwierciadło to, widzicie w niem zwiędłą młodość swą. (Pluje w twarz Lukrecyi.) Oto dla ciebie, zalotnico! (Kij i torbę żebraczą rzuca pod nogi doży.) To przekazuję republice! (Odchodzi).

(*Dokończenie nastąpi.*)

Czy to już jesień?

Czy to już jesień? tak jasno i świeżo,
Jak w dzień majowy lub w letni poranek;
Tęczowe kręgi przed okiem się szerzą,
I cisną w serca cienisty przystanek.

Czy to już jesień? Rój marzeń skrzydlaty,
Ze snu zbudzony do życia, do ruchu,
Najskrytszych myśli oblega warsztaty,
Lekki jak motyl, a bielszy od puchu.

Czy to już jesień? Świat za mgły się chowa,
Kwiaty powiędły, z drzewa liść opada,
A w blasku słońca lśni kłamstwo i zdrada;

Tylko mi z serca bratniego, ze słowa,
Trysnęła ucząc serdecznych kaskada,
I wiosna dla mnie zaświeciła nowa.

Emilia.

ZA GÓRAMI.

NOWELLA

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Przeszłego roku poznałem się w Baden-Baden z pewnym Anglikiem o nader sympatycznej i zajmującej powierzchowności. Pan Wayt (pod tem albowiem nazwiskiem zapisano go w księdze czasowo przejeżdżających gości), był to podróżnik w całem znaczeniu tego wyrazu. Od najmłodszych lat życia, niby żyd wieczny tułacz zmieniał miejsca pobytu, nie zatrzymując się nigdzie nazbyt długo. Najoddaleńsze kraje, najniebezpieczniejsze wycieczki, przestrzenie dzikie, samotne, których stopa ludzka nie dotknęła, stanowiły jego chwilową ojczyznę. Szukając wszędzie nowych wrażeń, przebiegł tym sposobem wzdłuż i wszerz kulę ziemską i znalazł się, mając pięćdziesiąt lat życia, w położeniu człowieka, który poznawszy wszystko, nie zdoła już znaleźć nic takiego, czegoby nie zbadał wszechstronnie. Ów zborny punkt przedstawicieli wszelkich narodów, owe gwarne eldorado mody, zbytku, próżniactwa, owe wody osławiane przed laty grą hazardową, a dzisiaj jeszcze będące areną popisów półświatka i przyczynkiem ruiny marnotrawnych synów, nie stanowiły dla niego portu wytchnienia po tyloletnich trudach podróży, nic bynajmniej: on tam zatrzymał się, bo zwertowawszy świat cały na okół, nie miał już gdzie skierować kroków swoich.

I jam także w chwilach mej młodości był zwolennikiem podróży, gdy jednak ciężkie wypadki losu zniszczyły błogie illuzye serca, a szybko następujące po sobie lata okryły szronem starości skołataną cierpieniami głowę, nie zdołałem nigdy pojąć tego usposobienia, które sprawia, iż ludzie w drugiej połowie doczesnej swej pielgrzymki, miasto tęsknić za spokojem, domowem ogniskiem i odpocząć na łonie rodziny, szukają przygód wśród obcych, dalekich krajów.

Znane pod tym względem narowy anglików miałem zawsze za stan wyjątkowy, anormalny, będący raczej wypływem ekscentryczności charakteru tego narodu, aniżeli potrzebą zaspokojenia próżnej ciekawości; dlatego też mając sposobność poznania bliżej bohatera niniejszego opowiadania, nie mogłem wyjść z zadziwienia, gdym ujrzał w nim spokojnego i zniechęconego do świata człowieka. Takie natury nie gonią zazwyczaj po przestworzach za błyszczącą fantazyą i złudzeniem, lecz szukają szczęścia w samotności, ciszy lub zapomnieniu. Jakie zaś powody skłoniły naszego turystę zadać kłam owej opartej na prawdach życiowej teoryi, okaże jego własna historya, którą mi, ujęty okazaną życzliwością, w poufnej pogawędce opowiedział.

— W bardzo młodym jeszcze wieku—mówił — straciłem ojca, który był jednym z filarów handlu i przemysłu w Manszester. Po śmierci jednak jego, jak to się często dzieje przy operacyach finansowych na kredycie opartych, przy zlikwidowaniu olbrzymiego na pozór majątku, nic się nie okazało. Wierzyciele wzięli wszystko, a ja pozostałem z nieskalanem wprawdzie imieniem, ale bez punktu oparcia, bez funduszu i jakiegokolwiekbądź widoku na przyszłość. Wtedy to stryj mój zajął się losem opuszczonego, po skonie brata dziecka. Opłacił za mnie szkoły, a później gdym takowe ukończył, umieścił w oksfordzkim uniwersytecie. Nie wiele go znałem: z dziecięcych tylko lat utkwiła mi w pamięci owa osobistość milcząca, ponura, zamknięta w sobie, a jednak posiadająca, jak się okazało współczucie dla sierocej niedoli.

Doznał on podobno dawniej jeszcze zawodu w miłości, a zniechęcony do świata i do ludzi, wszystkie swe uczucia zlał na pozostałą po śmierci ukochanej przez siebie kobiety, córkę. Była ona jedyną jego pociechą, jedynym węzłem łączącym zgryźliwego starca z przeszłością. Wychowance tej cały swój ogromny pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów wynoszący majątek, zapisał, z warunkiem ażeby została moją żoną.

Czy to zbiegiem okoliczności, czy też prawdopodobnie w skutku całkiem odrębnych poglądów mojego opiekuna, nigdy nie widziałem tej, którą mi za doczesną towarzyszkę życia przeznaczono. Stryj widocznie z obawy ażeby braterska poufałość, jaka wyradza się czasami z codziennych stosunków, nie stawiła tamy jego zamiarom, trzymał mnie zawsze daleko od siebie. Przywykłem wprawdzie uważać to małżeństwo jako rzecz nieuniknioną, ale nieznając swojej narzeczonej, trudno mi było oprócz bezwarunkowego poddania się woli dobroczyńcy, znaleźć w sercu dla osoby zupełnie mi nieznanej jakiekolwiekbądź goręctsze uczucie. Nie badałem przyszłości, nie goniłem myślą za marzeniami, nie podlegałem ani na chwilę uroczej złudzie wyobraźni: przedemną stała konieczność od której los mój zależał. Jaką zaś ona w dalszym ciągu życia okazać się miała smutną czy wesołą, bolesną czy szczęśliwą, trudno mi było odgadnąć.

Nadeszło nareszcie rozegranie dramatu mojego życia; skończyłem nauki w Uniwersytecie a chwila ta naznaczoną przez stryja została do naszego wzajemnego poznania się i zaręczyn zarazem. Czegom doznawał pakując swoje manatki w podróżny mantelzak, pojmie każdy, kto tylko wejdzie w podobne mojemu położenie. Było tam wprawdzie cokolwiek ciekawości, ale więcej nierówmie obawy, strachu i niedowierzania. Czułem, iż wstępuję w nowe nieznane mi szlaki żywota, a nie wiedziałem co mnie oczekiwało. Może ta z którą mam się połączyć dozgonnym związkiem nie tylko pozbawioną jest najzwyczajniejszych warunków poszukiwanych przez nas u kobiet, ale należy do istot upośledzonych od natury, jakie najmniej wybrednych nawet zdolne są zniechęcić wstrętną powierzchownością i trudnemi do zniesienia wadami.

Samo przypuszczenie podobnie smutnej alternatywy, napełniało me serce nieprzewidzianą bojaźnią.

Byłem jak ów wystawiany na straszne próby adept tajnego sprzysiężenia, który zmuszony rzucić się w otchłanie, a nie wiedząc jaki go los oczekuje, zamyka oczy w przekonaniu, iż tym sposobem zdoła skrócić swoje cierpienia.

Należało jednym tchem spełnić ów kielich goryczy.

Pojechałem.

Niestety! u kresu podróży spotkało mnie to, czego najmniej spodziewać się mogłem.

Stryj, tknięty nagle atakiem apopleksyi, nie żył już, a pogrążoną w rozpaczy narzeczonę moją, zawiozła czasowo do południowej Francyi jedna z okolicznych dam, okazująca dla niej wiele współczucia i życzliwości.

Zrosiwszy łzami niekłamanego uczucia świeżo zawartą mogiłę, pozostałem dni kilka w zamku zmarłego opiekuna, ażeby być świadkiem przy otwarciu testamentu.

Nie uległ on najmniejszej zmianie.

Ten sam przed laty jeszcze podany warunek tkwił tam jasno, wyraźnie, nieodwołalnie.

Ubóstwo lub zerwanie związków małżeńskich z nieznaną mi zupełnie osobą:

Dwie ostateczności.

Dawno już wybrałem ostatnią.

Nie mając zamiaru w niczem zmienić raz powziętego postanowienia, zająłem się uporządkowaniem interesów.

Załatwienie koniecznych formalności wiele mi czasu zajęło, tak, że przez kilka tygodni nie mogłem myśléć nawet o podróży do Francyi.

Gdy nareszcie wszystko ukończonem zostało, postanowiłem udać się tam, gdzie mnie wzywało dobrowolnie przyjęte zobowiązanie.

Ale widocznie małżeństwo to nigdy nie miało przyjść do skutku. W chwili wyjazdu mego odebrałem przez sztafetę wiadomość, iż przeznaczona mi za małżonkę dziewica zmarła nagle u wód, gdzie ją dla poratowania zdrowia zawieziono.

Pani ***, owa dama pod opieką której zostawała, doniosła mi, iż zapewne rozpacz po stracie ukochanego dobroczyńcy, przyczyniła się głównie do jej śmierci. Razem z listami odebrałem akt zejścia, jakoteż inne urzędowe dokumenta stwierdzające skon młodej dziewczyny.

Natura ludzka jest przedewszystkiem samolubną.

Ze wstydem wyznać muszę, że oprócz odcienia litości, żadne głębsze uczucie żalu nie napełniło serca mojego po stracie przyszłej towarzyszki życia. Owszem pomimowoli, bezwiednie prawie doznałem niejakiej ulgi we wrażeniu, jakie tyle niespodziewana katastrofa na mnie wywarła, odzyskawszy swobodę. Usposobienie to pojąć łatwo, wszakże ona była mi obcą, nigdy jej niewidziałem, a przy takich warunkach nikną wszelkie objawy smutku, ustępując miejsca więcej egoistycznym poglądom.

Uważałem nawet to wyjątkowe zrządzenie losu za prawdziwe dobrodziejstwo. Gdybyśmy się znali wzajemnie, może owa śmierć przedwczesna pozostawiłaby w mem sercu bolesne wspomnienie i zatruła spokój ducha; tymczasem obecnie oprócz cichego westchnienia poświęconego jej pamięci, do niczego więcej nie czułem się obowiązanym.

Objąłem więc w posiadanie niezmierny majątek, który po skonie narzeczonej stał się wyłączną moją własnością, a powierzywszy nadzór fortuny doświadczonemu i uczciwemu rządzcy, udałem się w świat szeroki, pragnąc szukać wśród oddalonych krajów nowych wrażeń, tyle zazwyczaj uroku mających dla młodocianej wyobraźni.

Przykuty dotąd do ław uniwersyteckich, schylony nad książkami wiedzy, poczułem nieprzezwyciężoną chęć zbadać tętno życia narodów, poznać ich charaktery, obyczaje, narowy i obznajmiając się z dziełami mistrzów sztuki, gonić za niedościgłym dotąd ideałem mych marzeń.

Swobodny jako ptak, którego lotu nic nie wstrzymuje, ruszyłem w podróż.

Włochy, owa ziemia obiecana wszystkich marzycieli, owe eldorado dla tych którzy nie krępując się materyalnemi drobiazgami bytu, mogą w każdej chwili zadowolnić swoje zachcenia, była najpierwszym celem przedsiewziętych przezemnie wycieczek.

Zwiedziłem cichą Wenecyą, poważny Rzym, gwarliwy Neapol, zachwycając się kolejno pałacami dożów, bogactwami Watykanu, widokiem Golfu, nigdzie jednak nie znalazłem tego co przemawiając do zmysłów urzeczywistnia pragnienia sercowe.

Kobiety spotykane przezemnie posiadały wprawdzie klasyczne kształty posągów, ręką Kanowy wykutych, żadna z nich przecież nie wywarła na mnie głębszego wrażenia.

Uwielbiałem piękno pozostając na nic nieczułym. Ukryty wśród tajników mej wyobraźni ideał nie oblókł się w uroczą postać kobiety.

W końcu znudzony tem ciągłem gonieniem za niedościgłą marą, zapragnąłem poszukać wśród skarbów przyrody, spoczynku, wytchnienia, spokoju.

Udałem się więc do Szwajcaryi.

Wybór jaki uczyniłem pojmiecie łatwo.

W oczach bezmyślnego tłumu, należałem do rzędu szczodrze uposobionych od losu śmiertelników. Wszystko to co tylko świat zwykł uważać za szczęście, było moim udziałem. Posiadałem kolosalny majątek, niezależność, środki do zadowolenia wszelkich zachcianek, wiek młody, zdrowie niczem niezachwiane a jednak czułem się nieszczęśliwym. Czemże bowiem było moje życie? Bezustannym pochodem, pozbawionym kwiatów uczucia, nużącą pielgrzymką, na krańcach której nie widniał żaden jaśniejszy punkt wyzwolenia. Zawsze to samo. Dnie, miesiące, lata będą następowały po sobie z kolei nie przynosząc najmniejszej zmiany w mojem położeniu. Od śmierci stryja i narzeczonej, rok cały minął, a ja czułem, iż krocząc ciągle tym jałowym szlakiem, nie postąpiłem naprzód. Zazdrościłem młodym, co miłością ukochanej osiągnęli rajskie słodycze, zazdrościłem starcom rozgrzebującym zastygłe popioły, ażeby z nich rozdmuchać iskierkę wspomnień; dla mnie teraźniejszość martwą była, przeszłość nie istniała a ułuda nie błysła dotychczas uroczym promieniem nadziei. Nieczuły automat wśród drgających tętnami życia świata, tęskniłem za kwiatem miłości, a kochać nie mogłem, nie umiałem.

Ojczyzna Wilhelma Tella, ów zabytek ziemi cichy, spokojny, pełen uroku, kędy człowiek stawiony wobec wspaniałej natury, owianej balsamiczną wonią górskich roślin, rozerwawszy węzły wiążące go ze społeczeństwem, może sam sobie wystarczyć, wydał mi się jedynym punktem zbawienia dla podtrzymania słabnącego ducha.

Szukając bezwarunkowej samotności, odprawiłem konie, pojazdy, liczną służbę i sam z kijem w ręku i tłomoczkiem na plecach puściłem się w podróż.

Ten nowy tryb życia miał z początku dla mnie niewypowiedziany powab: błądziłem po okrytych majową zielonością dolinach, wdrapywałem się na najwyższe szczyty gór, słuchałem po całych godzinach szumu wodospadów huczących wśród skalistych opok. Dzikie kozy skaczące ze skały na skałę, były jedynemi mojemi towarzyszami; łoskot lawin staczających się w przepaść, tęskna śpiewka pastuszka, daleki dźwięk alpejskiego rogu, jedynemi głosami, budzącemi okoliczne echa.

Często przepędzałem noc w głębi jaskiń przeobrażeniami kataliktycznemi wyżłobionych; czasami zapukałem do drzwi jakiej samotnej chatki, kędy uprzejmy gospodarz ugościł mnie dzbankiem świeżego mleka, jakoteż kęsem sera własnego wyrobu.

I było mi z tem dobrze.

Wędrując tak bez stale oznaczonego celu, zwiedziłem znaczną część kraju.

Pewnego razu znalazłem się wśród pustej doliny. Rzuciwszy wzrokiem dokoła nie ujrzałem nigdzie żadnych z tych domków, jakie zwykle urozmaicają krajobrazy Szwajcaryi: ani sine kłęby dymu, wyłaniające się z za skał, ani oddalone szczekanie psów podwórzowych, nie znamionowały bliskości ludzkiego mieszkania. Ogromny kobierzec łąk zamknięty ze wszystkich stron pasmem gór alpejskich, stanowił przestrzeń ożywioną śpiewem ptasząt, barwną zielenią, ozdobioną pękami pełnych uroku kwiatów, lecz pozbawioną zarazem widoku człowieka. Może ta bezwarunkowa samotność, której najczęściej w wycieczkach moich poszukiwałem, byłaby dla mnie miłą i pożądaną, gdyby nie dokuczliwy głód, jaki od kilku godzin dawał mi się uporczywie we znaki. Od samego rana nic w ustach nie miałem, a zniżające się ku zachodowi słońce, oznajmiało bliskość wieczoru. W pierwszej chwili chciałem zwrócić swe kroki napowrót, ale góra z której dopiero co zstąpiłem, stanowiła trudną do przebycia dla znużonego długim pochodem, przeszkodę. Czułem, że nogi odmówią mi posłuszeństwa, a tymczasem natura dopominała się gwałtownie praw swoich. Równie osamotniony a mniej przemyślny aniżeli Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie, szukałem w myśli środka do wyjścia z nieznośnego położenia, gdy nagle w niejakiem oddaleniu, z po za załamków skał, doleciał uszów moich uroczy śpiew.

Słów piosenki słyszeć nie mogłem, dźwięczna jednak jej melodya płynąc z wieczorną rosą po dolinie, napełniła me serce jakąś dziwną, niepojętą błogością.

Byłem zachwycony.

Przez chwilę stałem tak w niemem upojeniu, nareszcie podążyłem w kierunku z jakiego ów czarowny głos mnie dochodził.

Skryty skalistą opoką a niewidzialny od strony doliny domek, uderzył na wstępie moje oczy. Było to zwykłe zabudowanie gospodarskie w guście miejscowem postawione. Dwa piętra z których wyższe okalał drewniany ganek, składały jego całość; obok widniała schludna obórka z tłocznią do wyciskania serów, jakoteż kilka brogów świeżo zwiezionego siana.

We drzwiach ukazała się dwudziestoletnia może dziewczyna, silna, zdrowa, o obliczu rumianem i rysach twarzy znamionujących ów niczem niezachwiany spokój ducha, jaki zazwyczaj jest udziałem tamtejszej ludności.

Ujrzawszy mnie, zdawała się być mocno zdziwioną.

— Pragnę — rzekłem — powziąć wiadomość o jakiej oberży, gdziebym mógł znaleźć spoczynek i posiłek.

— Oberży? — zawołała, wpatrując się we mnie ciekawie — widocznie pan nie tutejszy, skoro nie wiesz, że dolina ta stanowi zupełnie oddzieloną od reszty kantonu miejscowość.

— Wistocie nie wiedziałem.

— Do najbliższej wioski liczą ztąd przeszło cztery mile, nadto podróż ta z powodu góry, którą przebyć trzeba jest niebezpieczną, zwłaszcza, gdy mrok zapadnie, a to wkrótce nastąpi.

— Cóż więc mam czynić?

— Nie wiem. My tu same jesteśmy, gospodarz jeszcze z łąk niepowrócił.

Kiedy tych słów domawiała, ujrzałem nową postać.

Była to młoda kobieta, która wyszedłszy z ogrodu otaczającego szwajcarską chatę, zbliżyła się do nas.

Spojrzawszy na nią, zostałem oczarowany.

Wystawcie sobie istotę o wiotkich, powiewnych kształtach, jasno blond włosach, pełnych szczerej słodyczy oczach, mającą w sobie coś idealnego, uroczego, coś co zaledwie wśród snów rozkosznych wymarzyć można, a będziecie mieli przybliżone wyobrażenie o tem cudownem zjawisku.

— Czem panu mogę służyć? — zapytała.

Poznałem ten głos dźwięczny, srebrny, metaliczny, którego brzmienie rozlegało się przed chwilą w melodyjnej piosence po dolinie.

Tłumiąc wrażenie jakie niezwykła piękność nieznajomej na mnie wywarła, opowiedziałem w krótkich słowach o co chodziło.

— W takim razie — rzekła — proszę ze sobą do chaty. Szczupłą ona i niewygodną wyda się dla pana, przyzwyczajonego zapewne do komfortu wykwintnego życia, ale braki te wynagrodzi szczera gościnność jej mieszkańców.

Weszliśmy.

Widocznie był to dzień niespodzianek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Niezadługo potem, zbliżono się do wysp Carey, gdzie major postanowił zarzucić kotwicę, w celu zwiedzenia kamiennej budowli wystawionej przez poprzednio znajdujących się tu żeglarzy, dla porozumienia się z przybywającemi później.

Budynek ten wzniesiony w kształcie piramidy, miał za podstawę metr kwadratowy, a trzy metry wysokości. Mimo skromnych rozmiarów stawiony na samym brzegu przylądka, widoczny był na kilka mil morskich odległości. Służy on jako miejsce schronienia dla korespondencyi, naukowych spostrzeżeń, sprawozdań z różnych wypadków, a nareszcie można tam znaleźć szacowne wskazówki dotyczące kryjówek, w których złożone zostały różnego rodzaju artykuły żywności, dla przypuszczalnych w przyszłości rozbitków. Ponieważ w tych okolicach najwyższa temperatura dochodzi zera, zapasy więc te przez długi czas mogą zostawać bez uszkodzenia i uratować niejednego z żeglarzy od głodnej śmierci. Jest-to niewątpliwie zaszczytny objaw cywilizacyi, skoro ludzie obcy sobie zupełnie, czynią co mogą dla wzajemnego ratunku.

Tak jak się spodziewał major, w kamiennym budynku nazwanym *kern* znalazł niektóre zabytki z poprzednio odbytych podróży, a mianowicie sprawozdanie kapitana Allen Youny, list kapitana

Nares i kilka numerów dawnych dziennika New-York-Herald. Greety zabrał te cenne zabytki z uszanowaniem właściwem relikwiom, a natomiast złożył opis dotychczasowej swej podróży.

W liście kapitana Nares była wzmianka o wspomnianej przez nas kryjówce z żywnością. Po odszukaniu takowej i skosztowaniu zapasów, znaleziono je zupełnie w dobrym stanie, a arak zyskał nawet wiele na dobroci.

Zapasy jednak mączne, jak różnego rodzaju suchary, ucierpiały wiele od topniejącego śniegu; woda dostawszy się do wnętrza beczek, ułatwiła mikrobom możność zagnieżdżenia się, co świadczyły roślinne okazy zielonej barwy, nazywane w Polsce kwitnieniem chleba. Stosownie do przyjętego zwyczaju, major uszkodzone zapasy zastąpił przez nowe, aby zawsze skład żywności był przygotowany dla zgłodniałych, a korzystając z okoliczności zabrał dawny arak a zostawiając na to miejsce odpowiednią ilość przez siebie wiezionego.

Nazajutrz Prometeusz przybył do przylądka Aleksandra, będącego niejako punktem centralnym drogi wiodącej do bieguna. Niedaleko ztamtąd znajduje się wyspa Litleton, sławna z pobytu rozbitków okrętu Palarci, którzy spędzili tam dwie zimy po śmierci kapitana Hall i pod wpływem zimna i głodu wymarli wszyscy bez wyjątku. Załoga okrętu Prometeusz zwiedziła z należnem uszanowaniem ostatnie miejsce ich pobytu i z gorączkowym pośpiechem opuszczała tę miejscowość, gdyż napotykane zabytki po rozbitkach czyniły nadre przykre wrażenie.

Brzegi cieśniny, którą płynęli nie były wcale weselsze. Prometeusz płynął wzdłuż gór lodowych uczczonych imieniem Humboldta, wtem jedna z nich oberwała się z wielkim trzaskiem i zanurzywszy się w głębinach oceanu, ukazała swój wierzchołek zaledwo na półkilometra odległości od okrętu. Gdyby w biegu swym spadkowym lub przy wypływaniu dotknął jej był tylko, to w pierwszym razie okręt byłby rozbity w drobne kawałki a w drugim utraciłby cały spód bez ratunku.

Ponieważ nie zaszło nic podobnego, Prometeusz więc płynął dalej, ale o ile możności w pośrodku cieśniny, dla uniknienia ponownego wypadku, który może mniej pomyślnie byłby zakończony. Przez cały jednak czas wyprawy, raz tylko byli świadkami oberwania się lodowej góry w tak straszny sposób.

Powyżej lodowisk Humboldta znajduje się przylądek Faucon, na którym kapitan Nares w miejscu wskazanem w liście przechował czółno. Major posłał kilku ludzi dla odszukania takowego, co uskutecznili bez wielkiej straty czasu, a natomiast oddzielono z zapasów Prometeusza pewną część żywności i trunków, które ukryto w najodpowiedniejszym miejscu, tworząc tym sposobem nowy kern mogący im być samym użytecznym w przyszłości.

Następnie puszczono się w dalszą podróż wśród przepysznych widoków i względnie nader łaskawej temperatury. Słoneczne promienie choć dogrzewały silnie, ale rozsiewany obficie cieplik pochłaniany był chciwie przez nagromadzone od wieków lody i śniegi.

Greety był uradowany mając nadzieję wśród sprzyjających okoliczności, popłynąć dalej niż początkowo zamierzył; w podbiegunowych jednak okolicach nie zbywa na niespodziankach i major w ciągu ośmiu dni doznał takowych po razy dwa.

Przedewszystkiem majtek siedzący na straży w bocianiem gnieździe, na maszcie, zwiastował nader nieprzyjemną nowinę, o nowej górze lodowej, znajdującej się w poprzek cieśniny. Przez cieśninę w tych okolicach rozumiemy wązkie przesmyki wśród lodów, co napotykamy również w odpowiednich rozmiarach i na zamarzniętych rzekach. Dostrzeżonej góry niepodobna było ominąć a niebezpiecznie było zbliżyć się, aby wypadkiem okręt nie był otoczony przez jej odłamy i skutkiem tego nie został uwięziony na wiele lat, jak to miało miejsce w czasie wyprawy Tegetthofa.

Trzeba więc było oczekiwać cierpliwie na dalszy bieg wypadków, co też major uczynił stojąc na miejscu nieruchomo, chociaż zawsze maszyna parowa była czynna i wysełane były łodzie na zwiady w różnych kierunkach. Mimo tego upłynęło ośm dni a nagromadzone lody ani drgnęły i zdawały się sięgać aż do samego dna morskiego, gdyż armatnie kule wybijały w nich tylko luki, żadnego innego nie wywierając na nie wpływu.

Major zatem uznał dalszą podróż okrętem za niepodobną i postanowił zawrócić, aby na której z wysp położonych więcej ku południowi założyć podbiegunową osadę, mającą posługiwać za podstawę do dalszych wypraw.

Wydane już zostały odpowiednie do tego celu rozkazy, ale zanim takowe wykonano, lodowa góra bez żadnej widomej przyczyny poruszyła się nagle i płynąc w kierunku zachodu, zostawiła okrętowi wolne przejście. W podbiegunowych okolicach, podobnego rodzaju wypadki lub naodwrót wprost przeciwne, przytrafiają się dosyć często.

Major wydał okrzyk radości, widząc nastręczoną możność spełnienia ułożonych planów, dał więc rozkaz płynięcia naprzód i w kilka dni później okręt zawinął do portu Discovery, gdzie stosownie do otrzymanych instrukcyi miał być wywieszony amerykański sztandar.

W wymienionej miejscowości zima trwa przez dziesięć miesięcy, ale za to w dwóch jedynych miesiącach letnich, roślinne i zwierzęce życie rozwija się z podwójną potęgą. W podobnych warunkach nie ma ani jednej chwili do stracenia: pierwsze ukazanie się latorości, rozwój liści kwiatów i owoców następują szybko po sobie, zwierzęta również objawiają gorączkową czynność po dziesięciomiesięcznym wypoczynku. Major Greety znając z opisu miejscowy klimat kazał wyładowywać okręt z pośpiechem, aby zrobić wcześnie odpowiednie przygotowania do spędzenia zimy i dać Prometeuszowi możność wrócenia do Ameryki. Gdyby znana już lub jaka inna lodowa góra przecięła mu odwrót, świat pozbawiony byłby wiadomości o losach występującej do walki z nieprzyjacielem przedniej straży naukowej.

Powrót okrętu tem więcej był pożądany, że dotychczas wyprawa doznawała stałego pod każdym względem powodzenia, chciano więc rozgłosić wieść o tem o ile możności najspieszniej, aby dodać otuchy członkom międzynarodowego kongresu i zachęcić ich do wytrwałości.

W czasie wyładowywania znajdujących się na okręcie różnych przedmiotów, powiększono niespodzianie zapas żywności. Ukazało się w pobliżu stado wołów piżmowych, które widocznie nie mając dotychczas stosunków z ludźmi nie objawiało wielkiej trwogi.

Myśliwska wyprawa znalazła wielkie powodzenie, w ciągu jednego dnia zabito czternastu wołów z których każdy dostarczył sto pięćdziesiąt kilogramów świeżego i smacznego mięsa. W najgorszym więc razie, gdyby nawet przywieziona żywność wyczerpaną została, naukowa kolonia mogła znaleźć na miejscu środki utrzymania. Po dokładnem oznaczeniu na mapie punktu na którym miał być wzniesiony dom mieszkalny, major Greety posłał jenerałowi Hazen, przez Prometeusza, jako bezpośredniemu swemu zwierzchnikowi, szczegółowy raport o wszelkich okolicznościach, dotyczących wyprawy, czyniąc nacisk na zrobione urzędownie przyrzeczenie, wysłania okrętu w roku 1882 i w 1883 dla przywiezienia żywności i zmiany ludzi, tak aby zawsze osada składała się z ochotników, chcących dobrowolnie być uczestnikami podjętych prac dla rozszerzenia zakresu geograficznych wiadomości.

Zaraz po odpłynięciu Prometeusza, zaszedł wypadek, malujący usposobienie majora Greety. W czasie wyładowywania okrętowych zapasów panowało pewne zamieszanie, może nawet nieuniknione w podobnym wypadku, mimo tego zrobił on z tego względu wymówkę pierwszemu porucznikowi, który obrażony zażądał uwolnienia od sprawowanych obowiązków. Podobne żądanie było dosyć dziwne ze względu na otoczoną lodami pustynię, jednakże Greety przychylił się do żądania swego podwładnego, a nawet dozwolił mu zabrać łódkę w celu dogonienia Prometeusza płynącego ku południowi. Porucznik nie tracąc czasu, wytężył wszystkie siły dla dognania go, ale wszelki możliwy pośpiech nie przyniósł pożytku; znajdujący się na okręcie ludzie nie dostrzegli dawanych im znaków i nie usłyszeli odgłosu trąby, zwykle w podobnych razach używanej.

Zawiedziony porucznik widząc znikający okręt wśród mgły właściwej oceanowi północnemu, nie miał innego wyboru jak wrócić do osady. Major przyjął go grzecznie ale obojętnie, i od tej chwili uważał go tylko jako gościa i nie powierzył mu dowództwa żadnej z mających nastąpić wycieczek. Odkryte rozmaite miejscowości oznaczono mianami niższych oficerów a nawet podoficerów dla uwiecznienia ich pamięci, o pierwszym jednak poruczniku nie wspomniano nigdzie, ani w sprawozdaniach urzędowych, ani prywatnych. Nawet w pracy pana de Fonvielle nie znajdujemy wymienionego jego nazwiska, a w opisie nieporozumienia z majorem jest mowa o pierwszym poruczniku bez bliższego oznaczenia tej osobistości.

Przystąpiono bezwłocznie do zbudowania mieszkalnego domu, a raczej do złożenia jego części przywiezionych z Ameryki. Miał on dwadzieścia metrów długości, siedm szerokości i odpowiednią wysokość. Korzystano z doświadczenia kapitana Nareza, stawiając właściwie dwa budynki, z których mniejszy będący rzeczywistym domem mieszkalnym, pomieszczony był w większym. Tym sposobem uczestnicy naukowej kolonii zabezpieczeni byli od nagłych zmian temperatury, tak przy wychodzeniu jakoteż po powrocie do urządzonego schronienia. Wewnętrzny dom podzielony na trzy części miał prawe skrzydło przeznaczone dla oficerów, lewe dla niższych stopni a środek na kuchnię był przeznaczony, a to w tym celu, aby zużywany dla gotowania opałowy materyał, posługiwał zarazem dla ogrzewania części mieszkalnych.

Niezadługo srogie mrozy zniewoliły do szczelnego opatrzenia drzwi i okien, mimo tego przechadzka co najmniej przez godzinę na świeżem powietrzu należała do obowiązkowych czynności, od czego nie był zwolniony nawet i sam naczelny dowódzca.

Zaopatrzono członków naukowej wyprawy w odpowiednie do potrzeby ubranie, których wzory mo-

żna było oglądać w Londynie w roku 1884 w czasie wystawy, kiedy jeszcze nie wiedziano o smutnym losie naukowej kolonii. Zasiadano do stołu cztery razy dziennie, mianowicie o godzinie ósmej, jedenastej, czwartej po południu i dziewiątej wieczorem.

Jako napój służyło do wyboru piwo i wino, również jak pewna ilość gorących trunków; odbywający służbę nocną korzystali jeszcze z dodatkowego działu: herbaty, pączu lub gorącego wina. Hygieniczne starania zostawały pod nadzorem doktora Pary i stosownie do ułożonego regulaminu, każdy z uczestników wyprawy obowiązany był kąpać się co dni ośm, a następnie opatrywać starannie wszystkie części ciała, aby zniweczyć w samym zarodzie wszelkie odzięcbienia.

Po urządzeniu administracyi domowego porządku, nie zapomniano i o duchowych potrzebach. Prócz rozdawanych do czytania książek z utrzymywanéj starannie biblioteki, odbywały się dwa razy na tydzień odczyty: we czwartek zabierał głos major Greely w przedmiocie fizyki, astronomii i meteorologii, tak aby spostrzeżenia uskutecznione przez ludzi z mniejszem wykształceniem, czynione były ze znajomością przedmiotu; w sobotę mówił doktór Pary naprzemian o historyi naturalnéj, fizyologii lub hygienie. Wyrażał on wielokrotnie przekonanie, że do zupełnéj skuteczności lekarstwa potrzeba, aby chory zrozumiał dokładnie jego działalność, gdyż tak jak we wszystkiem tak i przy leczeniu jest strona materyalna i duchowa, pierwsza zawisłą jest od działania lekarstwa, druga od moralnego przekonania chorego.

W niedziele odbywano regularnie nabożeństwa pod wyłącznym kierunkiem majora czytającego Pismo św. z objaśnieniami zastosowanemi do wyjątkowego położenia słuchaczy. Religijne i narodowe święta obchodzono uroczyście modlitwami i ucztami, na których podawano większą niż zazwyczaj liczbę potraw. Zbytek taki był tem więcéj dozwolony, bo prócz okrętowych zapasów znaleziono dodatkowy środek utrzymania w myśliwskich i rybackich wyprawach.

Wspomnieliśmy już o wołach piżmowych, póżniéj napotkano zające i podbiegunowe ptaki bez naukowego nazwiska, zalecające się po upieczeniu przyjemnym zapachem i nader delikatnym smakiem. Wypada jeszcze wspomnięć o fokach i niedźwiedziach dozwalających urozmaicać jadłospisy. W tych okolicach kwestya posiłku jest pierwszorzędną, jedzący umiarkowanie człowiek wśród lodów północnego oceanu, potraja apetyt. Dla rozrywki obchodzono urodziny każdego z uczestników wyprawy; prócz tego porucznik Lockwood wydał kilka numerów humorystycznego dziennika. Wśród podobnego klimatu trzeba unikać tak fizycznej jak i moralnéj bezwładności, zdolnéj sprowadzić śmierć lub obłąkanie. Żałujemy bardzo, że pan Fonville mając w dłoniach swych materyały dotyczące opisywanéj podróży, nie skopiował chociaż jednego numeru wzmiankowanego dziennika.

Były to najszczęśliwsze chwile podjętéj wyprawy i zapowiedzią pomyślnéj przyszłości. Jedyna obawa polegała na tem, aby naukowa osada zdołała przybyć do więcéj posuniętéj ku północy miejscowości, aniżeli to uczynili jéj poprzednicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Wieści telegramowe i politycy gazeciarscy. Dziennik poznański o odwecie. — Członkowie Lutni ze Lwowa. — Występy ich w Warszawie. Młode pokolenie aktorów — umiejętność dobrego mówienia.—Kapelusze pań w teatrach. — Wybryk paryżanek.—Brylanty.—Dwa jubileusze.—Uczta charakterystyczna.—Muzeum pszczelnicze. — Egzamin, rozstanie się uczenic i wierszyk pożegnalny.

Od pewnego czasu, w sprawie awantur na półwyspie Bałkańskim, telegrafy niezmiernie są czynne. Jedne przynoszą wieści sypiąc je jak z rękawa, aby poruszyć ciekawość publiczną a na drugi dzień zawiadomić, iż prawdy nie ma w nich za jeden nawet grosik. Drugie głoszą rozumowania, wnioski i zapewnienia dziennikarskich dyplomatów, że dyabeł nie jest tak strasznym jak go malują, i choć troszkę może bryknął, ale przyzwoicie z całą etykietą salonową, wszystkim się podobającą. Giełda wśród téj powodzi kłamstw i plotek, tu i owdzie przystrojonych szczyptą prawdy, jak cukierkiem babka Wielkanocna, wartość papierów publicznych, zniża, podnosi, duma i namyśla się, a przedewszystkiem oblicza kto schudnie a kto spęcznieje, kto się uśmiechnie radośnie a kto guzem obdarzony skrzywi się kwasem octu siedmiu złodziei. Druga sprawa co się gwałtem pod pióro ciśnie są wygnańcy z Pruss wypychani z siedzib swych, wbrew wszelkim względom najczystszéj sprawiedliwości, która choć na nieszczęście świątem nie rządzi, uważana jednak jest za rzecz niezbędna, jak chustka do nosa perfumami nasycona.

W przedmiocie tym bardzo naturalnym sposobem, zaczęły się pojawiać w pewnéj części naszej pracy, mniej więcéj wyraźne zachęty do odwetu. Otóż z powodu tego, Dziennik Poznański, jak donosi Gazeta Warszawska, wystąpił ze stanowczą naganą owych mściwych podniecań. Nie gani usuwania niemieckich pracowników dla oddania miejsc po nich polakom poddanym rossyjskim, radzi tylko ostrożność, aby nie przeholować. Powiada, że ten ostracyzm jest naruszeniem konstytucyi niemieckiéj, i że tym sposobem przeciwny opinii publicznéj, stanie się kością niezgody między reprezentancyą niemiecką a polityką, która podobno procedurę z nadwerężeniem prawa konstytucyjnego podjęła. Brońmy się powiada dalej, ale tylko w granicach koniecznéj potrzeby, to nasz obowiązek, tylko nie przeholujmy, bo to byłoby bez korzyści a z wyraźną naszą szkodą.

Jest w tem wiele prawdy... a teraz słówko o miłéj niespodziance jaką nam sprawili członkowie Towarzystwa Lutni ze Lwowa, przybyli w potrójnym kwartecie. W Krakowie przyjęto ich z niezmierną życzliwością, my z równą serdecznością witaliśmy gości w naszych progach. W Towarzystwie muzycznem, gdzie pierwszy urządzili występ publiczny, sala szczelnie była napełniona słuchaczami, a oklaski przypominały burze huczącą piorunami, sypane na powitanie Lutnistów i podziękowanie po każdym wybornie wykonanym numerze.

W koncercie danym nazajutrz w Teatrze wielkim, jakkolwiek starannie ułożonym, krzesła, galerye i paradyz pełne były jak nabił, głowa prawie głowy dotykała, ale loże świeciły szkaradnemi pustkami. Rzecz to bardzo charakterystyczna, niepotrzebującą komentarzy. Szkoda czasu i atłasu na bliższe w niéj rozpatrzenie. Przy odśpiewaniu utworów poważnych kompozytorów, słuchacze ciągle podnoszonemi oklaskami świadczyli o zadowoleniu swem i życzliwości dla koncertantów. Największe jednak zdobyły: polonez Moniuszki pan Chorąży i pieśń Żeleńskiego p. t. Nasza Hanka, brylancik prawdziwego natchnienia poetycznej duszy.

Odegrał także p. Gustaw Frieman na skrzypcach z akompaniamentem orkiestry śliczną sonatę z wielkiem poczuciem artystycznem i techniką niepospolitą. W drugiej części koncertu, przedstawiony został leciuchny obrazek jak woń kwiatka w mgle porannej kąpiącego się p. t. O czem marzą młode panienki, ale na nieszczęście w połowie tylko słyszanego i to jako tako.

Już to młode pokolenie artystów, z pewnym niewielkim wyjątkiem, czy to pań czy mężczyzn, nie zaleca się zbytnią umiejętnością mówienia tak jak dobry artysta mówić powinien. Zwykle nie mówią, ale trzepią, piszczą, głosu w jednej mocy nie utrzymują nawet w pojedyńczych wyrazach, początkowe sylaby wymawiają podniesionym tonem, dalsze ciszej, przez co mowa robi się nierówną, niejasną, u pań szczebioczącą do świegotu ptaszyn bardzo zbliżoną, u mężczyzn nierówną, jakby jąkatą, jakby artysta jadąc wozem po straszliwej grudzie ciągle podskakiwał i mimo wysiłku mową jak należy posłużyć się nie mógł.

Nie ma wątpliwości, że dobra wymowa, jest darem przyrodzonym, jakim nie każdy pochlubić się może, ale każdy może ją posiąść gdy zechce co u artysty jest niezbędnem. Zamiast więc przedwczesnych wypraw z gościnnemi rolami do Lwowa, Krakowa lub Poznania, radzilibyśmy paniom artystkom i artystom, uważającym się po paroletniej pracy za gwiazdy pierwszorzędne, udawanie się na czas urlopu w pobliża rzek, potoków lub lasów szumiących pędem wody lub liści, i tam wśród chłodu i cienistej osłony czytanie głośne, wolne i wyraźne, naszych poetów lub prozaików, a z pewnością głos sobie bardzo wyrównają, wzmocnią go i zrobią jasnym jakim wszędzie a tymbardziej na scenie być powinien.

Zagadawszy się o teatrze, mimowoli stają w myśli... kapelusze naszych pań, które zgodne z modą piętrząc się po nad głową, stają się niepokonaną przeszkodą do patrzenia. Gdyby krzesła ustawione były w teatrach na płaszczyźnie więcej pochyłej, cokolwiek zbliżonej do cyrkowego urządzenia, nic byśmy przeciw wysokości kapeluszy damskich nie mieli; ale w teatrach podnoszenie się rzędów krzeseł jest bardzo nieznaczne; chcąc dobrze widzieć, trzeba być albo dość wysokim, albo wyszukiwać miejsc wolnych pomiędzy głowami przed nami siedzących i stosować się z oczami do wszelkich ich poruszeń zależących także od zajmujących miejsca na przodzie. Jak to jest kłopotliwem i niewygodnem, każdy przyzna; kapelusze damskie niezmiernie się do tego przyczyniają, czyżby więc nie było sprawiedliwem, zdejmowanie ich podczas przedstawienia? W Wiedniu dyrekcya teatru zwyczaj ten już zaprowadziła, u nas same panie powinny to zrobić, a jakżebyśmy im za to pięknie podziękowali. Wprawdzie moda strój taki proteguje, ale nie zawsze moda trzyma się w szrankach sobie właściwych.

Dowodem tego karty wizytowe dla psów, zaopatrzone w herby i godła, jako najświeższy wybryk rozkapryszonych paryżanek więcej jak do ostateczności posunięty. Każda z nich oddając wizytę, a nie chcąc być uważaną za pomiatającą przepisami etykiety, obowiązaną jest z własną kartą wizytową, oddać bilet swojego *Tou-tou.* Słuszną też

kronikarz robi uwagę, że tylko czekać, jak właścicielki czworonogów zaczną urządzać psie herbaty tańcujące i prowadzić korespondencye pomiędzy swemi ulubieńcami. Dobrze że brylanty tak długo uważane we Francyi i Anglii za najodpowiedniejszy klejnot do stroju ślubnego, zaczynają wychodzić z mody, bo kto wie czyby niemi nie przystrajano obróżek na szyje tych pieszczochów dziwactwa ludzkiego. Podobno ma je zastąpić kamień zwany księżycowym, będący odmianą felszpatu, o łagodniejszym znacznie blasku i tym sposobem harmonijniej się zlewający ze śnieżnym strojem oblubienicy.

Tydzień temu w Niemczech obchodzono półwiekową rocznicę pracy na polu bartnictwa ks. Jana Dzierżona, w tem zapewne przekonaniu, że zacny ten kapłan jest niemcem z urodzenia. Tymczasem sam we wstępie do jednego z dzieł swoich powiedział, iż jest polakiem. Stanowisko jakie zajął w sprawie szlązaków i wsparcia dla nich na ręce Lompy a później Miarki składane, wykazują aż nadto dowodnie, że lubo pisał tylko po niemiecku, bo w tym kształcił się języku, mimo tego z kości i krwi jest naszym bratem. Dostojny jubilat urodził się dnia 11 stycznia 1811 w Łowkowicach w pobliżu Kluczyborga na Górnym Szląsku, po ukończeniu uniwersytetu we Wrocławiu, osiadł jako proboszcz w Siołkowicach, a następnie w Karłowicach.

Drugim jubileuszem, troszkę może dziwacznym, zawsze jednak opierającym się na słusznej zasadzie, był dotyczący ziemniaków, niesłusznie zwanych u nas z niemiecka kartoflami. Otóż ziemniaki jak wiadomo, lat temu trzysta, w roku 1585 sprowadził Fran. Drake po raz pierwszy do Europy. Jeden więc z naszych zamożnych przemysłowców p. W., jako wielki amator ziemniaków, postanowiwszy rocznicę tę obchodzić uroczyście, wyprawił obiad złożony z samych dań ziemniaczanych. Była więc zupa ziemniaczana, kasza także, ziemniaki faszerowane, nadziewane grzybkami, kotlety z nich, ziemniaki duszone ze śmietaną, garnirowane jajem, wreszcie słodka legumina z mąki ziemniaczanej. Zapewne przed obiadem łyknięto dobre hausty *ziemniaczanki* a przy jedzeniu popijano piwo z ziemniaków wyrobione.

U nas prócz pana W. nikt na trzechwiekową rocznicę sprowadzenia ziemniaków nie zwrócił uwagi:—o Dzierżonie dał obszerniejszą wiadomość podobno tylko Kuryer Warszawski, ale najlepiej uczciło go Muzeum pszczelnicze pod dyrekcyą p. Lewickiego zostające, które dla uczenic swoich urządziło w tym czasie egzamin i udzieliło kilkadziesiąt patentów uzdolnionym pszczolarkom i pszczolarzom. Skończywszy studya rozsypią się one po całym kraju, aby rozwijać przemysł u nas zupełnie zaniedbany. Szczęść im Boże! W tej pracy tak wielce pożytecznej, ucząc się w Muzeum wyniosły z niego nietylko nową umiejętność, ale i związki wzajemnej życzliwości i przyjaźni wraz z miłem wspomnieniem chwil w niem przebytych. Przy rozstaniu się i poczęstunku miodem i piernikami, jedna z uczenic, oceniając te uczucia serdecznego związku i poruszona żalem rozstania się, wystąpiła wierszykiem prawie improwizowanym, wiernie stan jej duszy malującym. Oto wierna jego kopia.

Gdyśmy już egzamin zdały,
I skończyły trudy swe,
Wszystkieśmy się znów zebrały,
Koleżanek orszak cały,
By pożegnać się...

Hej! do góry wznieśmy szklanki,
Już rozstania bije czas,
Bądźcie zdrowe, koleżanki,
Komu w drogę, temu czas.

Miło chwile nam spływały
Przy nauce tej,
Dziś gdyśmy egzamin zdały
To do pracy z siły całej,
Każda zapał miej!

Przecie każda z nas pamięta,
Że pożytku (*) krótki czas,
Bywajcie zdrowe dziewczęta,
Komu w drogę, temu czas.

Choć gdy wspomnę na rozstanie,
W oku świeci łza,
Poco próżne narzekanie,
Co być musi to się stanie,
Nic wiecznie nie trwa.

Jeszcze jeden uścisk bratni,
Komu w drogę, temu czas,
Dłoń podajcie raz ostatni;
Pszczółki moje, żegnam was;

Lećcie, lećcie w różne strony,
Zbierać z kwiatów miód,
Da Bóg, że obfite plony,
Za cel życia osiągniony,
Wynagrodzą trud.

Bądźcie zdrowe ulubione
Towarzyszki, żegnam was,
Dalej, każda w swoją stronę,
Komu w drogę, temu czas.

Jadwiga.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Bogdajbyś cudze dzieci uczył!** woła arabskie przekleństwo, to też ten rodzaj pracy najcięższym jest może. A jednak, przed laty dwudziestu, lub więcej, byłoto prawie jedyne zatrudnienie dostępne dla naszych kobiet, jedyna specjalność, którą niezamożna panienka na utrzymanie zarabiać mogła; wtedy wyraz „szwaczka" odstraszał każdą z córek najmarniejszego urzędnika, pod sztandar nauczycielstwa chronił się cały zastęp dziewcząt mniej lub więcej wykształconych umysłowo, a każda z nich pewną była, że znajdzie pracę i zarobek. Szczęście wielkie że dziś pod tym względem zmieniły się czasy, żadna uczciwa praca nie wstydzi, każdy jej rodzaj znajduje poszanowanie.

A legiony ówczesnych nauczycielek — co się z niemi stało? Smutna odpowiedź, jedne pomarły nierzadko w nędzy i opuszczeniu, szczęśliwsze powychodziły zamąż, inne zaś pracują do tej pory. Ciężką jest praca nauczycielki prywatnej. Wyzyskiwana przez chlebodawców, cały czas swój im oddając nie ma czasu śledzić za kierunkiem nauczania, *starzeje* się system dawniejszy, traci z każdym rokiem swą wartość, świeże siły, i czynią jej zgubną konkurencyę, i tak znana *doświadczona nauczycielka* staje się coraz mniej pożyteczną.

Te smutne refleksye nasunął nam fakt świeżo zaszły w Warszawie, fakt samobójstwa nauczycielki Eleonory Chmielewskiej. Ofiara, kobieta 37 letnia wystrzałem z rewolweru w hotelu saskim odebrała sobie życie, po długich poszukiwaniach pracy, w kilku tutejszych kantorach. Nie znaleziono przy niej ani grosza a parę wyszarzanych sukien stanowiły cały jej majątek. — Illustracya wymowna bardzo — prawdziwa pieśń bez słów — bo słowa tu zbyteczne.

*** **Z prowincyi.** Prowincyonalne nasze miasteczka z uwielbienia godną wytrwałością postępują na dobrej, raz obranej drodze. Dawne niezgody, drobne niesnaski zaścianków staną się wkrótce mytem, któremu nikt nie zechce dawać wiary. W każdym niemal numerze dzienników spotykamy się z wiadomością o nowym objawie tego prądu.

Pomiędzy innemi, czytamy, że w Koninie odbyło się w tych dniach przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny, a dochód przyniósł czystego zysku 646 rs. Rezultat to wcale znaczny, a jeżeli weźmiemy w rachubę szczupłość miejsca przeznaczonego na widowisko, to przekonamy się że stawili się wszyscy by przyłożyć się do dzieła miłosierdzia. W Turku odbyło się przedstawienie na szpital, a w Garwolinie również przedstawienie amatorskie na rzecz miejscowego szpitala. Odegrano komedyjki „Ciotka na wydaniu — „Tajemnica" „Łobzowanie." Ziemianie nasi coraz więcej także biorą się do handlu, co zasługuje również na poklask serdeczny. W tym czasie przybył nam nowy sklep spożywczy dla włościan w majątku Wąsosze.

Życzymy powodzenia i wytrwałości w pokonywaniu przeszkód, które w każdym fachu, a w tym najbardziej z początku nastręczać się mogą.

*** **Ofiary łatwowierności.** Chłopek nasz ciemny, a jednak dość nieufnie przyjmujący wszelkie nowości, daje się często chwytać na wędkę złudnych obietnic i urojonych korzyści. Tego rodzaju fakt zdarzył się w przeszłym tygodniu. Do Warszawy przybyło z Radomskiego, głównie z gminy Chlewiska około 30 rodzin wieśniaczych, które opuściwszy rodzinne wioski podążały do guberni tambowskiej na przesiedlenie. Jako przeważnie drobni koloniści lub komornicy zebrali na drogę bardzo mało grosza, a zapewnieni nie wiadomo przez kogo, że w Warszawie otrzymają pieniądze na dalszą podróż do Tomska, śmiało puścili się w drogę. Przybywszy do naszego miasta, oczekując na ów zasiłek znaleźli się w trudnem położeniu, a wielu z nich zaczęło już żebrać. Na błąkające się gromadki wieśniaków zwróciła uwagę policya, i pomieszczono tymczasem biedaków w pokojach kancelaryi cyrkułowej, na Pradze. Co z niemi dalej się stanie, odgadnąć trudno; naturalnie wrócą do rodzinnych wiosek, pozbawieni wszelkich zapasów na zbliżającą się zimę, która ciężko zapisze się w ich pamięci. Jakie z tej sprawy korzyści osięgnął tajemniczy dobroczyńca, który popchnął ciemnych ludzi na tak niebezpieczną drogę? Czyż głos sumienia nic mu nie wyrzuca, a widok nędzy tylu rodzin nie odegna snu z powiek?

Ponieważ nadeszły wiadomości, iż przybyć mają świeże partye wychodzców z gubernii łomżyńskiej i siedleckiej, władza tutejsza rozesłała zawiadomienie do gubernatorów, aby wstrzymać wydawanie paszportów emigrantom, którzy nie mają funduszów na drogę.

*** **Sezon towarzystwa** muzycznego rozpoczął się pod nader szczęśliwą wróżbą z pomocą nadpletwiańskich gości. Po tryumfach w Rożkowie, gdzie publiczność przyjmowała ich serdecznie, członkowie „Lutni" zawitali do Warszawy.

Zoorganizowanie, nie dawniej, jak przed czterema laty, na wzór wiedeńskiego „Maennergesangvereinu",

(*) Pożytkiem nazywają pszczolarze korzyść z pszczół otrzymaną.

towarzystwo amatorów, pod nazwą „lwowskiego chóru męzkiego" rozwija się świetnie. Dzięki niezmordowanej pracy głównego kierownika, towarzystwo doszło wkrótce do znakomitych rezultatów, gdyż zyskało popularność, względnie szeroką, zainteresowało publiczność, z rozbudzeniem zamiłowania do śpiewów zbiorowych i wydawnictwem kwartetowych śpiewników zasłużyło się wielce.

Pełny komplet „Lutni" składający się z 140 członków czynnych (80 mężczyzn i 60 dam) posiada już repertuar bardzo bogaty, a pod względem artystycznego wykonania śpiewów chóralnych, śmiało ze słynnym wiedeńskim „vereinem" mierzyć się może.

Lwów szczyci się Lutnią, a jej popisy są na koncertach wabikiem sprowadzającym tłumy słuchaczów. Towarzystwo muzyczne tutejsze miało więc dobrą myśl, zapraszając do nas kilku jej członków.

Potrójny kwartet lwowski zaprezentował się znakomicie; zgodność tych świeżych głosów męzkich obudziła zachwyt ogólny, wysoka poezya i zrozumienie ducha kompozycyi porywają znawców i nieznawców, typ w nich prawdy i siły.

Dodać należy, że śpiewacy Lutni nie są ludźmi artystycznego fachu, każdy z nich pracuje w innym zawodzie na powszedni kawałek chleba, a jednak stać ich jeszcze na te prawdziwe uczty duchowe. A u nas? O, i u nas, młodzież grą się zajmuje, jeżeli nie śpiewem, lecz grą — przy zielonym stoliku.

*** **Towarzystwo ogrodnicze** nie zasypia na laurach któremi świeżo zamknięta wystawa ozdobiła jego skronie. Obecnie poruszono w niem projekt otworzenia kassy pomocy i wsparcia dla podupadłych ogrodników i pozostałych po nich rodzin. Myśl to bardzo zacna, która zasługuje na uznanie i poparcie. Gdyby każde kółko sfer społecznych pomyślało o przyszłości swoich członków; zabezpieczeniu ich od nędzy. mielibyśmy już podobnych kas bardzo wiele a biednych coraz mniej, i złego mniej na tym bożym świecie.

Projektowaną jest także halla do sprzedaży krajowych owoców w naszem mieście, o której tak dawno marzą producenci zmuszeni trzymać „sadowników" na zgubę ogrodu. Mamy nadzieję, że obydwa te nader szczęśliwe pomysły przejdą wkrótce, w dziedzinę faktów, energii i przedsiębiorczość panów ogrodników, daje nam pod tym względem zupełną gwarancyę.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Wyspy Karolińskie** o których posiadanie toczy się spór zawzięty między Hiszpanią z Niemcami, znajdują się w opłakanych warunkach pod względem sanitarnym. Ludność tych wysp zmniejsza się z każdym rokiem tak dalece, że na głównej z nich Ponape, w przeciągu lat trzydziestu z 15 pozostało 2 tysiące ludności. Oprócz epidemicznego zapalenia gardła; które dziesiątkuje ludność, panuje tam kaszel zazwyczaj kończący się śmiercią. Skoro epidemja ukaże się w jakiej miejscowości, „policya sanitarna (!) energicznie bierze się do dzieła. Napadając gromadnie mordują chorych, zdrowych zaś pędzą w góry, spaliwszy ich chaty wraz z całem mieniem.

Zdaje się, że Europejczycy nie bardzo na wyspach Karolińskich osiedlać się zechcą, nawet zuchwały i pewny siebie niemiec powinienby się zastanowić, czy to się opłaci. Bo, proszę wyobrazić sobie tragiczną sytuacyę: pewnego pięknego poranku, krajowcy zabierają kulturträgerowi opasłe psiska aby — zrobić z nich smaczny obiad, gdyż ten rodzaj pożywienia liczy się tam do najwykwitniejszych.

Obyczaje krajowców nie przeszły poza granice pierwotnej dzikości, panuje tam wielożeństwo, i w ogóle pod względem moralności najzupełniejsza swoboda. Ubranie wcale nie kosztowne, składa się ze spódniczki z trawy, świeżej codziennie.

Kilku misyonarzy angielskich starało się tutaj szerzyć wiarę Chrystusa, co jednak wcale się nie przyczyniło do złagodzenia obyczajów.

*** **Sprawozdanie** dotyczące połowu pereł w koloniach francuzkich, podaje nader ciekawe szczegóły.

Na wyspach Towarzyskich bywa połów najobfitszy, a z całego archipelagu wysp, których jest 80, tylko 6 nie posiada muszel perłowych. Najlepszych dostarcza wyspa Taiti, to też cała ludność zajmuje się ich połowem, kobiety szczególniej odważnemi są nurkami i słyną ze zręczności.

Wyspiarze zanurzają się w wodzie na 150 stóp głęboko, a czasem nawet i więcej, pozostają zaś pod wodą do trzech minut. Ciężka to bardzo praca i niebezpieczna, ponieważ w morzu pełno jest rekin które w okropny sposób kaleczą nurków, często ich zjadając. W razie ostatniego wypadku smutna wieść szybko rozchodzi się po archipelagu, odwaga opuszcza nurków, nie wyłączając najśmielszych i doświadczonych, i połów muszel na pewien czas zupełnie ustaje. Prócz tego nurkowie długo uprawiający swoje rzemiosło, zagrożeni są paraliżem. Poławiacze nie pracują na własny rachunek, lecz z małym wypadkiem są wynajmowani przez przedsiębierców. Robota zaczyna się wczesnym rankiem po modlitwie i zbadaniu przez szkła pola obranego do pracy, i trwa przez listopad, grudzień, styczeń i luty. Podczas naszych miesięcy letnich woda przed południem jest tak zimną, że dopiero po południu połów się zaczyna; aparatów nurkowych krajowcy używać nie chcą, utrzymując, że takowe prędzej jeszcze sprowadzą paraliż.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Od pani A. Chmi. w Cukrowni Sob. odebrano rubli 3 na pogorzelców Grodna. *Panu A. Stoł. w Tahanczy.* Adres zmieniono, numer zagubiony powtórnie posłano, resztę z rubla oddano ubogiej matce.

Pani J. Chm. w Swobodzie. Historyą odpowiednią do nauki młodych panienek, trudno polecić, bo są różne, i wybór sama Nauczycielka musi uskutecznić. Odpowiedź spóźniona; z powodu wyjazdu Redaktora z Warszawy a przyjścia listu w czasie jego nieobecności.

Pani A. Chmielewskiej w cukrowni Sob. pieniądze odebrano na pogorzelców i prenumeratę, ale w czasie nieobecności Redaktora w Warszawie.

Pani Izabeli Mroczyńskiej w Janikowie. W Przyjacielu dzieci przeglądów krytycznych dawać nie można, bo pismo to nie dla Nauczycielek jest wydawane tylko dla dzieci, które powinny wierzyć, że co mieści się w książce dla nich przeznaczonej, pod żadnym względem nie zasługuje choćby na najmniejszą naganę.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom dziewiąty pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Wrzesień już wyszedł z druku i obejmuje:**

WOŁY ROBOCZE.

OBRAZKI Z ŻYCIA POCZCIWCÓW.

Przypominamy, że prace autora „Kłopotów Starego Komendanta" są przyjmowane przez ogół czytelników z żywą sympatyą, że wszyscy pragną ich, jak się pragnie pokarmu zdrowego, świeżego powietrza, jak się pragnie krynicznego napoju, który orzeźwia i rozwesela.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:* za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową: za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:* za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową: za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

Mapa poglądowa Królestwa Polskiego, ułożona przez panią Jadwigę z Zakrzewskich Wojcicką, przedstawia sposobem poglądowym całe Królestwo Polskie, pod względem etnograficznym, historycznym, rolnym, leśnym, górniczym, przemysłowym, komunikacyjnym, pod względem hodowli zwierząt domowych, gospodarstwa rybnego, sieci kolei żelaznych, ważniejszych dróg bitych i hydrografii, z oznaczeniem punktu spławności rzek w granicach Królestwa znajdujących się. Cena jej w oprawie do zawieszenia na ścianie, wynosi rs. 15.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Сентября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 40.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1 i ryc. 39 w N. 41. Ubranie z długim płaszczykiem. Krój na dodatku z formami N. III, fig. 14—20.

Na małym formacie zestawionych części płaszczyka fig. 14a i 16a wskazuje w jaki sposób dopełnić u dołu formę daną w naturalnej wielkości na fig. 14 i 16 a na fig. 20 dajemy miarę długości i szerokości dwóch tylnych brytów dopełniających krótkie plecki. Gdy spodnie części przodów fig. 14 zeszyjemy od *a* do *b* i od *c* do *d* z boczkami i plecami, trzeba zwierzchnie przody, przykrojone podług fig. 16, ułożyć na spodnich punktem do punktu, zeszyć razem na ramionach od *e* do *f* i przyszyć je do pleców do krzyżyka. Następnie rękaw (fig. 18) przymarszcza się u dołu i wszywa w mankiet fig. 19, zaś do płaszczyka przyszywa się od gwiazdki przez *f* do *c*, do zwierzchniej części przodów od gwiazdki przez dwukropek do krzyżyka, a część brzeżną pomiędzy krzyżykiem i *h* przyszywa się na bocznym szwie pleców. Obadwa tylne bryty fig. 20, fałduje się w środku długości podług krzyżyków i kropek, przyszywa fałdy do brzegu plecków, i spuszcza gładko nakształt szarf do dołu. Brzegi płaszczyka i brzegi boczne i dolne tylnych brytów obrębia się stębnówką i tak ze sobą jak i z przodami zczepia się tylko kilku ściegami u dołu. Na modelu do płaszczyka z ciemno bronzowego sukna dany był kołnierz i mankiety z aksamitu podszyte atłasem.

N. 2. Ubranie z peleryną. Krój i plecy na dodatku z formami N. IX, fig. 47—50.

Na fig. 47 dajemy w naturalnej wielkości formę pod spód idącej połowy peleryny, odstającej na ramionach, a dodanie do prawej, na wierzch zachodzącej połowy oznaczone jest cienką linijką. Fig. 48 wskazuje formę połowy gładkiej podszewki pod kołnierz, który zwierzchu pokryty jest podwójnie złożonemi pliskami ze skosów 5 cent. szerokich. Stanik z krótką bawetową baskiną, zapinany z boku, dopełnia w górze część szmizetkowa stalą haftowana i wszyta w pasek idący koło szyi. Model sukni do ryc. 2 odrobiony był z jasno popielatej alpagi; gładka podszewkowa spódniczka pokryta jest plisowaniem podszytem u dołu skosem 22 cent. szerokim. Draperyę z przodu układa się z trójkąta, którego model i miary dajemy na fig. 49, a który od 1 do 200 fałduje się i wszywa w pasek.

N. 3. Gorset krótki.

Model gorseta, odrobiony z białej satynki, odznaczał się doskonałym krojem i dopasowaniem do figury, do czego bardzo pomaga skośne przecięcie i szew widoczny na ryc. 3. Szeroka różowa wstążka pokryta koronką, zdobi górny brzeg gorseta.

N. 4—6 i r. 1 w N. 41. Serwetka na poręcz do krzesła. Haft płaski i kratki ażurowe.

Bardzo ozdobna serwetka meblowa, mająca 40 cent. szerokości, robiona była na niewarowem płótnie domowej roboty, jedwabiem kremowym, z domieszaniem trochę nitki złotej. Do roboty ażurowej, której próbkę w naturalnéj wielkości dajemy na ryc. 6, wyciąga się najpierw nitki w płótnie, licząc na każdą kratkę po 18 nitek w kwadrat, a na przedziały pomiędzy kratami zostawia się po 8 nitek, które albo wszystkie razem, albo po 4 oddzielnie, obrabia się w sposób wskazany na powiększonej próbce r. 5, jako ramy do krat. Na tejże próbce wskazane są dokładnie ściegi zapełniające rogi i środki kwadratów. Z obodwóch brzegów szerokiego środkowego szlaku dane są wązkie pasy kratek, przerabianych nitką złotą; po za kratką są szlaczki haftowane ściegiem płaskim, przy których kontury i drobne ozdoby wyszyte są także nitką złotą. Poprzeczne brzegi serwetki wysiepać na 2 cent. szeroko, wysiepane nitki dzielić na równe promienie i związać brzegi na pentelki nitką złotą, a następnie do takich pentelek przyczepić kwaściki z filozeli, 6 cent. długie, przewiązane w sposób wskazany na ryc. 4 nicią złotą.



N. 1. Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—20. N. 2. Suknia z pelerynką. Krój i plecy na arkuszu N. IX, fig. 47—50.

N. 8, 12 i ryc. 40 w N. 41. Serwetka haftowana ściegiem płaskim. Desenie na dodatku fig. 29—30.

Model serwetki trzymającej 57 cent. w kwadrat, odrobiony z ciemno karmazynowego pluszu, odznaczał się zarówno pięknym doborem kolorów jak i zręcznym układem oddzielnie rzuconych bukietów, z których najmniejszy podajemy w naturalnej wielkości na r. 12, a desenie dwóch większych na fig. 29 i 30. Haft płaski ściegami jedne w drugie wchodzącemi, robiony był dwoma włóknami włóczki crevel do cieniu, a cienie najjaśniejsze rozdzielaną filozelą; kontury i żyłki odznaczone szenelą wełnianą arraseen. Gałązka przedstawiona na ryc. 12, robiona była następującemi kolorami, które służyć mogą i do innych bukietów: kielich czterolistnego kwiatu trzema cieniami miedzianego koloru, z których najjaśniejszy, prawie biały, filozelą; kontury trochę ciemniejszym niż kwiat odcieniem miedzianym szneli wełnianej, a żyłki kolorem bronzowym. Liść wyrastający ze środka kwiatu obwiedziony był sznelą ciemno bronzową, a środek zapełniony czterema cieniami orzechowo drzewnemi. W pięciu liściach otaczających kwiat, kontury obwiedzione były trzema cieniami trawnego koloru, a zapełnione kolorem czekoladowym w czterech cieniach i jasnemi cieniami niebieskawo zielonemi; liść umieszczony na gałązce, robionej cieniem ciemno zielonym, był trawno zielony do cieniu, z żyłkami ze szneli miedzianej. Do brzegów serwetki przyrobiona jest wkoło frendzla, podana w naturalnej wielkości na ryc. 40 w N. 41. Na frendzlę użyte są wszystkie kolory haftu, lecz nie pomięszane razem, tylko brane po dwa odmienne na każdy promień.

N. 9. Kapelusz od deszczu, zrobiony z gumowego materyału.

Obok coraz bardziej upowszechniających się płaszczyków gumowych, jako nader praktycznych w razie deszczu, obmyśliła moda, jako dopełnienie, kapelusze z gumowego materyału. Chociaż głównem ich zadaniem jest wygoda połączona z oszczędnością, nie zapomniano jednak w nich o zastosowaniu modnych fasonów i elegancyi. Na ryc. 9 zgrabna kapotka ma główkę pokrytą gładkim, a rondko fałdowanym materyałem gumowym, z którego upięta jest także zręczna kokarda ozdobiona szpileczkami i szarfy z przyszytą kokardą.

N. 10. Suknia z vêtement dla panienki lat 11—13. Krój vêtement podług formy do ryc. 5 i 22 w N. 38.

Dla panienek rosnących, których figura nie jest jeszcze uformowaną, najwłaściwszym i najkorzystniejszym fasonem sukni jest vêtement, suto, krótko podpięte, ze stanikiem bufiastym z przodu. Ryc. 10 przedstawia suknię z materyału gładkiego i w kolorowy rzucik; z pierwszego zrobiona spódniczka wkoło fałdowana, z drugiego vêtement, do którego podszewkę kraje się podług dobrej formy stanika, a wierzch podług modelu do ryc. 5 i 22 w N. 38. Przody stanika, zapięte na kryte haftki, zdobi marszczony kamizelkowy garnirunek, spuszczony w bufę u dołu, w górze 6, u dołu 11 cent. szeroki. Na wcięciu w pasie dane przepięcie ze wstążki, zakończone z boku kokardą; brzegi garnirunku pokrywają fałdy zwierzchniego materyału vêtement, podpiętego z boków krótko nakształt paniers. Tylne bryty vêtement marszczą się w gorze, przyszywają szwem odwracanym do brzegu plecków i zdobią kokardą.

N. 11. Teczka na papier listowy, ozdobiona haftem płaskim i płytą mosiężną wyrzynaną. Desenie na dodatku z formami fig. 31 i 32.

Teczkę stojącą wycina się ze sztywnej tektury albo z cienkiej drewnianej deseczki. Tylna ścianka, której kształt wskazuje ryc. 11, ma 16 cent. wysokości, 11 górnej a 12 dolnej szerokości, boczne ścianki są po $5\frac{1}{2}$ cent. szerokie, z tylnego brzegu $8\frac{1}{2}$, z przedniego $6\frac{1}{2}$ wysokie. Te wszystkie ścianki i dno 1 cent. grube, a na 2 c. z brzegów wystające, pokryte były pluszem bronzowym, a ścianka środkowa i tektura podłożona pod blachę mosiężną, piłowaną w deseń podany na fig. 31, atłasem bronzowym. Ściankę tylną zdobi haft robiony dwunitkową filozelą, listki kolorem zielonym, kwiat blado i ciemno różowym, pączki niebieskim, wąsy i gałązki nitką złotą. Cała ścianka przednia przymocowana jest do ścian bocznych, (do których dodane listewki 1 cent. grube, pluszem pokryte) małemi mosiężnemi śrubkami.

N. 13—15 i ryc. 2 w N. 41. Kapelusze jesienne.

N. 13 i ryc. 2 w N. 41. Kapotka ze sznureczków jedwabnych.

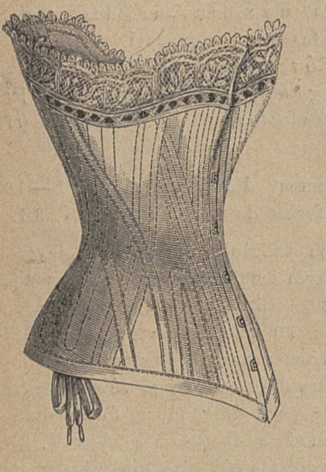
Cała kapotka upleciona była z cienkich sznureczków jedwabnych w kolorze vert Chartrese i białym, i pokryta cienkim jedwabnym zielonym tiulem, przez który sznureczki przeglądały. Tiul na główce ułożony był w fałdki i w lekkie bufki, a na rondku przymarszczony. Z przodu przypięty bukiet z bzu białego, hiszpańskiej rzeżuchy i liści do cieniu, wpięty z przodu; szarfy do wiązania ze wstążki zielonej ottoman, 7 cent. szerokiej.

N. 14. Kapotka aksamitna.

Główka 8 cent. wysoka, pokryta jest gładko czarnym aksamitem, proste rondko z przodu niknie pod dwoma wolantami, z podwójnie złożonego aksamitu, które w środku układa się w podwójne kontrafałdy a z boków plisuje. Kawałek skośny w fałdę złożony; opasany z tyłu na brzegu główki. Ubranie stanowiła wstążka blado różowa ottoman, 6 cent. szeroka, i 7 cent. szeroka jasno orzechowa aksamitna z atłasowym spodem; z tej ostatniej dane szarfy do wiązania.

N. 15. Kapelusz słomkowy.

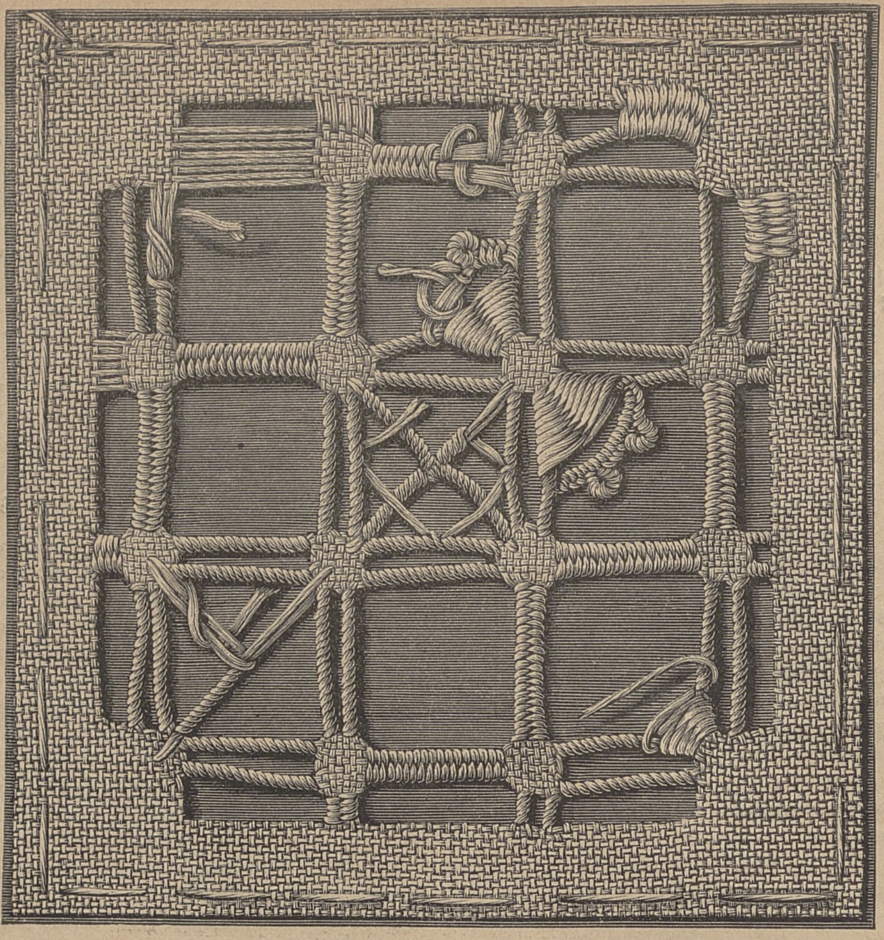
Dyademowo podniesione rondko bronzowego słomkowego kapelusza, podszyte było aksamitem bronzowym i podgarnirowane taką koronką 8 cent. szeroką, wachlarzowo ułożoną; z przodu na środku podpiętą kokardą ze wstążki ottoman, 4 c. szeroką. Główkę zdobi podwójny rząd liści jesiennych, kokardy i szarfy ze wstążki 7cent. szerokiej.



N. 3. Gorset.

N. 17. Koszyczek do robót ozdobiony haftem.

Zgrabny koszyczek, pleciony z wązkich trzcinowych, złoconych pręcików, miał wraz z nóżkami w kształcie kulek 16 cent. środkowej wysokości, 28 i 38 cent. długości ścian bocznych, a 25 cent. długości dna. Wewnątrz pokryty jest kanwą bronzową, przerabianą złotem, na której wyhaftowany rzucik ściegiem płaskim, filozelą bronzową do cieniu, albo ściegiem krzyżowym; gwiazdy podane na fig. 64. Do węższych boków koszyczka dodane są kieszonki kanwowe, podszyte atłasem, a w górze oszyte sznurem. Górny brzeg koszyczka zdobią listki zrobione z materyi, przedzielane pentelkami ze sznurka; dwie rozety z listków i sznurka zdobią ucho koszyczka.



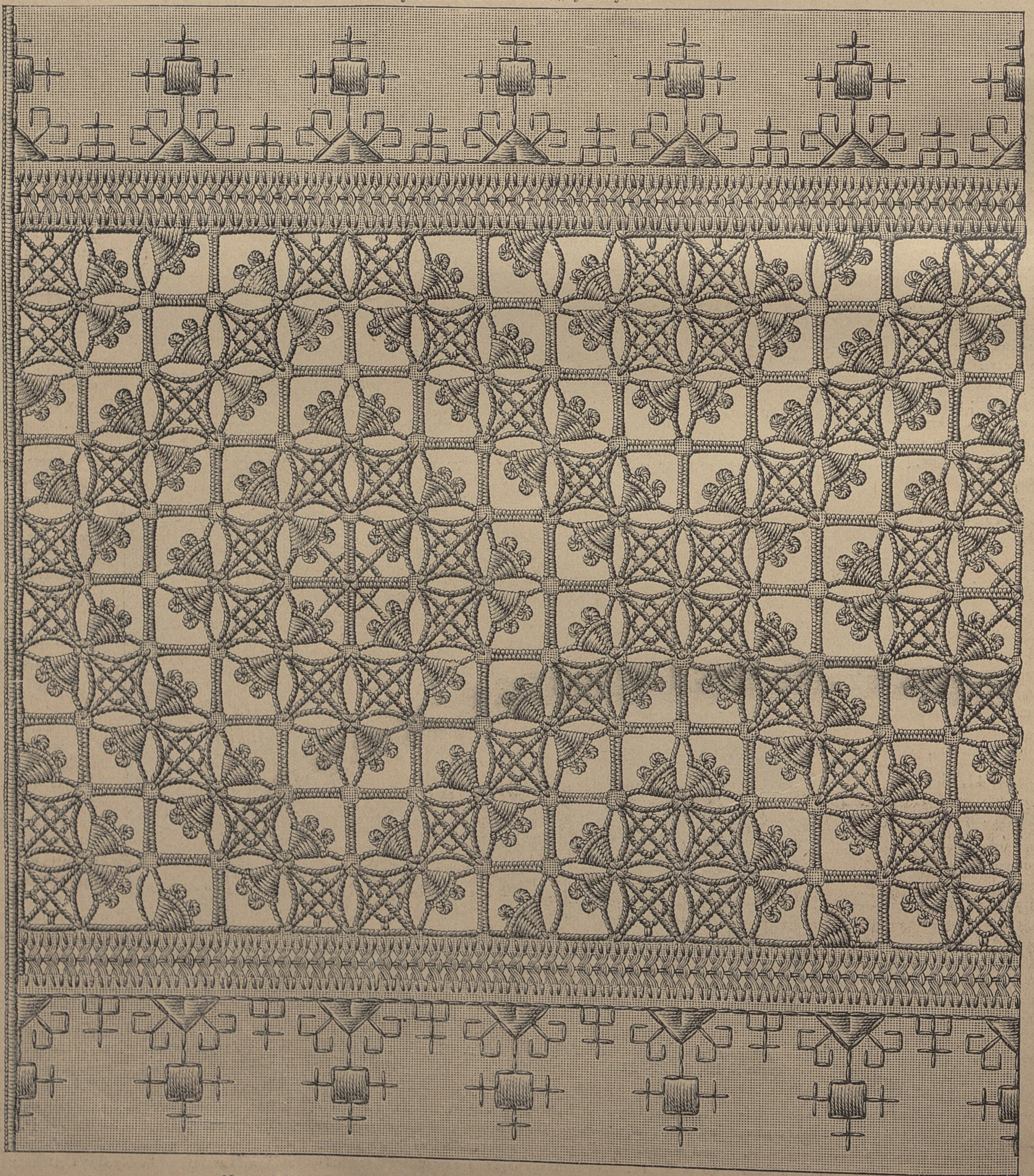
N. 5. Wykonanie kratki ażurowej do ryc. 6.

N. 18. Ubranie ranne garnirowane koronką. Krój i plecy na dodatku z formami N. XII, fig. 59-60.

Przy negliżu odrobionym z żółtawo białego loden, podszewkowa spódniczka oszyta była u dołu plisowaniem 5 cent. szerokiem z ciemno ponsowego atłasu, i dwiema 9 cent. szerokiemi falbankami z białej wełnianej koronki, podłożonej atłasem ponsowym. Plisowana spódnica wszyta w pasek u dołu zachodzi trochę na garnirunek; bryt draperyi tylnej 70 cent. szeroki a 90 długi, także w pasek od spódnicy wszyty, luźno do dołu spuszczony, zakrywa rozpór. Do odrobienia dogodnego paletocikowego stanika, oprócz małego modelu fig. 59, służyć może forma w naturalnej wielkości do ryc. 19. Nie przecinany w środku, w fałdy zaszyty garnirunek pleców, puszczony jest luźno od wcięcia w pasie. Pod żabot z przodu daje się podszewkę gładką, w środku zeszytą, przykrojoną podług f. 35, którą pokrywa 45 cent. długi kawałek zwierzchniego materyału, przemarszczony w górze i u dołu i w bufę spuszczony. Przody paletocikowe, obłożone plisą z atłasu, 9 cent. szeroką, i naszyte koronką, są z jednej strony przyszyte, z drugiej na kryte haftki przypięte do żabota. Rękawy ogarnirowane koronką, kokarda ze wstążki ponsowej w atłasie, 8 cent. szerokiej. Czepeczek koronkowy ubrany ponsową wstążką.



N. 4. Frendzla. Opis przy ryc. 5 i 6.



N. 6. Szlak z kratki ażurowej, do serwetki na poręcz do krzesła. Patrz ryc. 4—5.

Opis do N-ru 41.

N. 1. Opis przy ryc. 4—6 w N. 40.

N. 3-7. Flaszki dla myśliwych.

Na ryc. 5 i 6 przedstawiamy dwie bardzo praktyczne płaskie flaszki, wyrobione z jednego kawałka blachy stalowej (bez lutowania boków lub dna) wewnątrz emaliowane biało, zewnątrz bronzowo; koreczek korkowy lub gumowy z metalową główką, zawieszony na łańcuszku. Do zawieszenia flaszki przez ramię służy pasek skórzany lub mocny sznur 175 cent. długi. Pokrycie zwierzchnie stanowi robota szydełkowa z bawełny niewarowej N. 15, na cienkim sznureczku, której

próbkę w wielkości naturalnej przedstawia ryc. 7, albo też robota wiązana z mocnego sznureczka, wskazana na ryc. 3; z boków trzeba dodać uszka do przewleczenia sznurka lub paska podług ryc. 5 lub 6.



N. 7. Płaskorzeźba do ramek. Opis w N. 41.

N. 11—14. Dywanik. Mozajka z resztek sukna lub t. p., ozdobiona wyszyciem. Deseń, patrz fig. 63 na arkuszu z krojami.

Model liczył 156 cent. długości a 120 szerokości i składał się z popielatych i czarnych kawałków sukna, wyszytych włóczką angielską. Ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości jeden kwadracik czarny, wyszyty dwoma cieniami mchowo zielonemi i dwoma popielatemi; otoczenie stanowią takież kwadraty popielate, przyszyte z czterech stron do brzegów; na szwie dany łańcuszek z włóczki popielatej, a na rogach gdzie łączą się cztery czubki kwadratów, wyszyte wypukłe muszki. Na kwadratach popielatych dane wyszycie włóczką bronzową i ponsową. Tło środkowe ze szlakiem brzeżnym połączone jest szlaczkiem, wyszytym na czarnem suknie podług ryc. 13; zeszycie pasków przykrywa łańcuszek. Deseń wyszyty na szerokim szlaku, daliśmy na fig. 63 na arkuszu z krojami; składa on się z prostych kwadratów i z trójkącików, ułożonych podług ryc. 14; ryc. 12 przedstawia połowę trójkąta wraz z deseniem wyszycia. Zakończenie stanowi drugi rząd szlaczku takiego, jak wokoło środka dywanu, i oszycie ze sznura. Dywanik podszywa się grubem płótnem.

N. 15—17. Staniki odpowiednie do spódnic à la paysane.

N. 15. Stanik skośnie zapinany. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.

Dolny brzeg tworzy z przodu i z tyłu krótki bawet; do prawej połowy przodów (krajanych podług ryc. 1) zachodzącej skośnie na lewą; dodaje się część dopełniającą, przykrojoną podług fig. 2, przyszytą od gwiazdki do dwukropka. Jak to ryc. 15 wskazuje, środkiem przodów dany jest marszczony plastron z ciemnej materyi, odznaczony linią prostą na fig. 1, brzegiem którego zwierzchni materyał przodów jest lekko namarszczony. Zapięcie dane na kryte haftki; pod szyją kołnierzyk stojący, 4 cent. szeroki; kokardy z wstążki atłasowej.

N. 16. Stanik z ranwersami.

Spódnica była z materyi koloru chartreuse, pokryta czarną koronką chantilly, stanik zaś z etaminy. Przody dopełnione wykładanym kołnierzem z szerokiemi ranwersami, nie dochodzą się środkiem i przytwierdzone są wielkiemi metalowemi guzikami do kamizelki plisowanej z białej materyi, zapiętej na kryte haftki. Plecy stanika zakończone krótkim fałdowanym karoczkiem, z pod którego wysuwa się szeroka szarfa. Na rękawach dane gładkie jedwabne wykłady. Żabot z koronki koloru sukni.



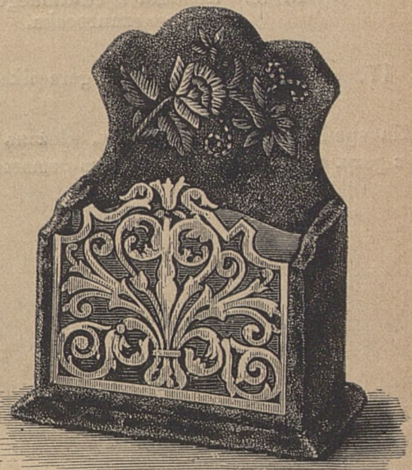
N. 8. Serwetka z haftem płaskim. Patrz ryc. 12, tudzież ryc. 40 w N. 41. Deseń na arkuszu fig. 29—30.



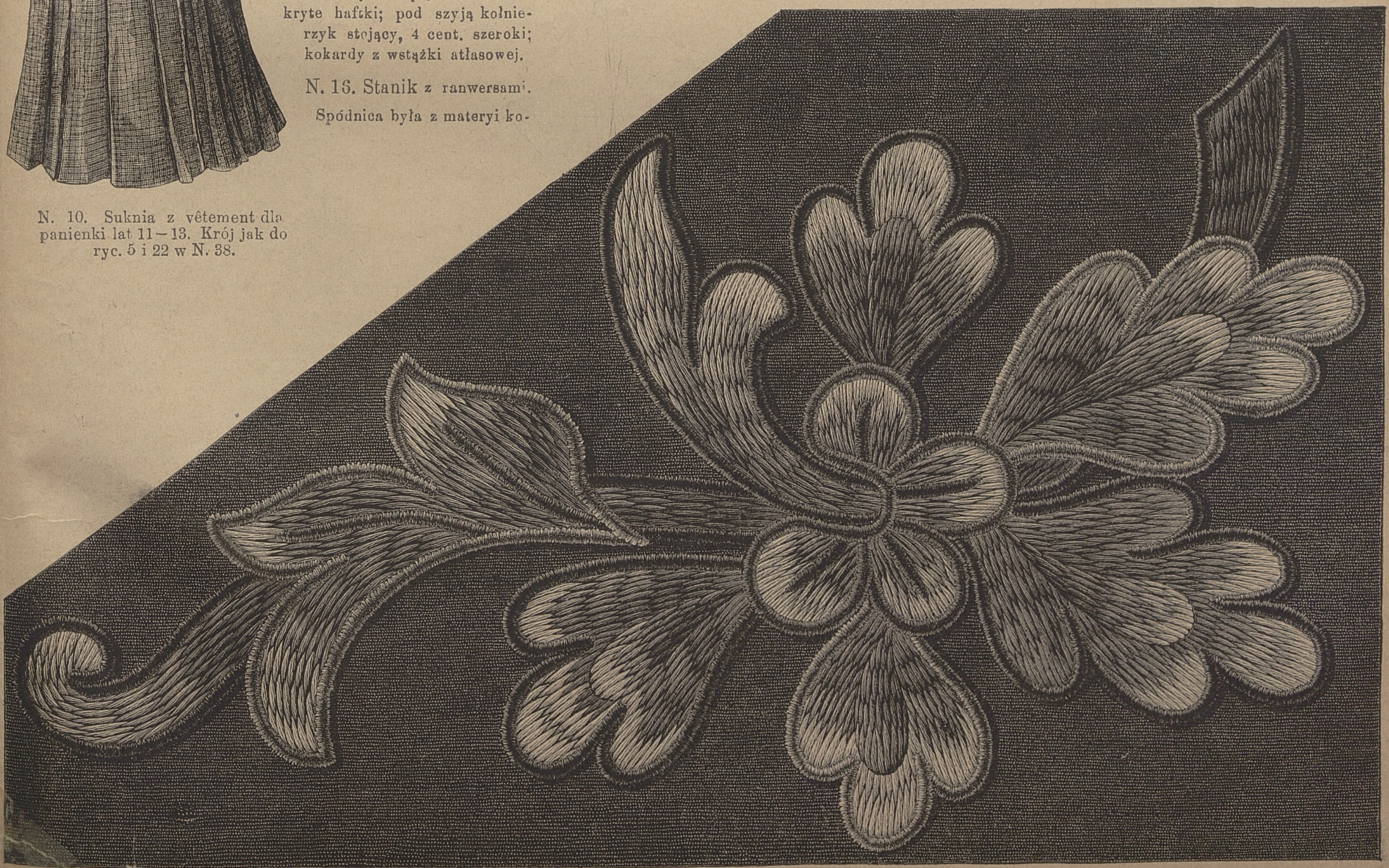
N. 9. Kapelusz z materyału gumowego.



N. 10. Suknia z vêtement dla panienki lat 11—13. Krój jak do ryc. 5 i 22 w N. 38.



N. 11. Postumencik do papieru listowego. Deseń wyrzynania patrz fig. 31—32.



N. 12. Gałązka haftem płaskim do serwetki ryc. 8.



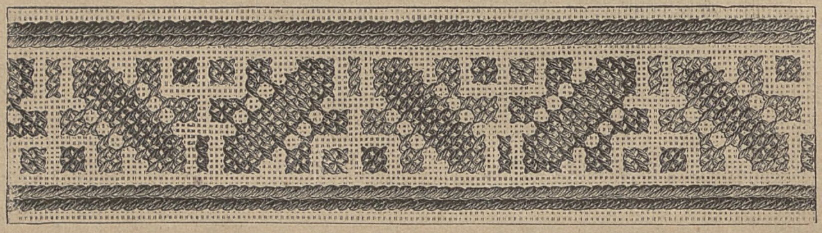
N. 13. Kapotka z jedwabnego plecionego sznureczka.



N. 15. Kapotka słomkowa.



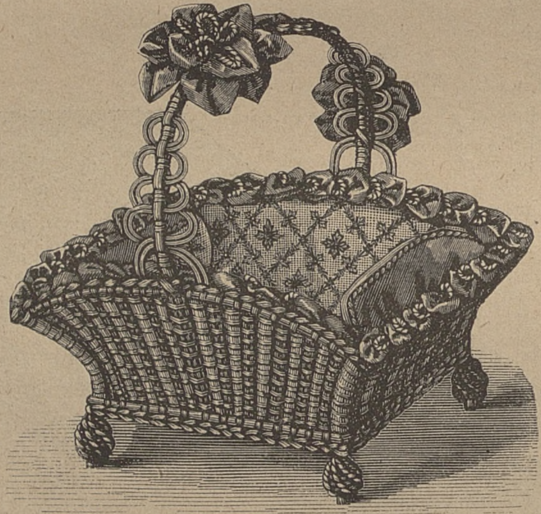
N. 14. Kapotka aksamitna.



N. 16. Szlaczek na ścieg krzyżykowy.



N. 18. Negliż zdobny koronką. Krój i plecy na arkuszu N. XII, fig. 59—60.



N. 17. Koszyczek do robót.



N. 19. Ubranie ranne ze szlakami. Krój, plecy, deseń i opis na arkuszu N. VII, fig. 35—43.

N. 17. Stanik z fałdowanem gorsecikowem przybraniem.

Na spódnicy z materyi w pasy, włożona druga z gazy, tego co materya koloru, zmarszczona z przodu i z tyłu, sfałdowana na biodrach, z boków lekko podpięta. Gładki staniczek z materyi w pasy, zapięty na kryte haftki, przybrany jest w oryginalny sposób fałdowaniem z gazy, krzyżującem się na plecach i z przodu, dochodzącem aż do ramienia i na wierzchu złączonem kokardami z wstążki. Gorsecikowe to przybranie musi być dopasowane na figurze. Pasek zapięty długą kokardą.

N. 18—19. Ubrania spacerowe dla młodych panienek.

N. 18. Suknia z krótkim paletocikiem. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—13.

Brzegi paletocika z bronzowego materyału *floconné*, nakrapianego kolorowo, objęte są pletnią wełnianą, 3 cent. szeroką. Linia prosta przy fig. 7, oznacza formę prawej połowy przodu, zachodzącej na wierzch, do której od punktu do punktu przyszyty jest ranwers, ukrojony podług fig. 13, u góry i u dołu zakończony kokardami. Zapięcie dane na kryte haftki.

(*D. n.*)